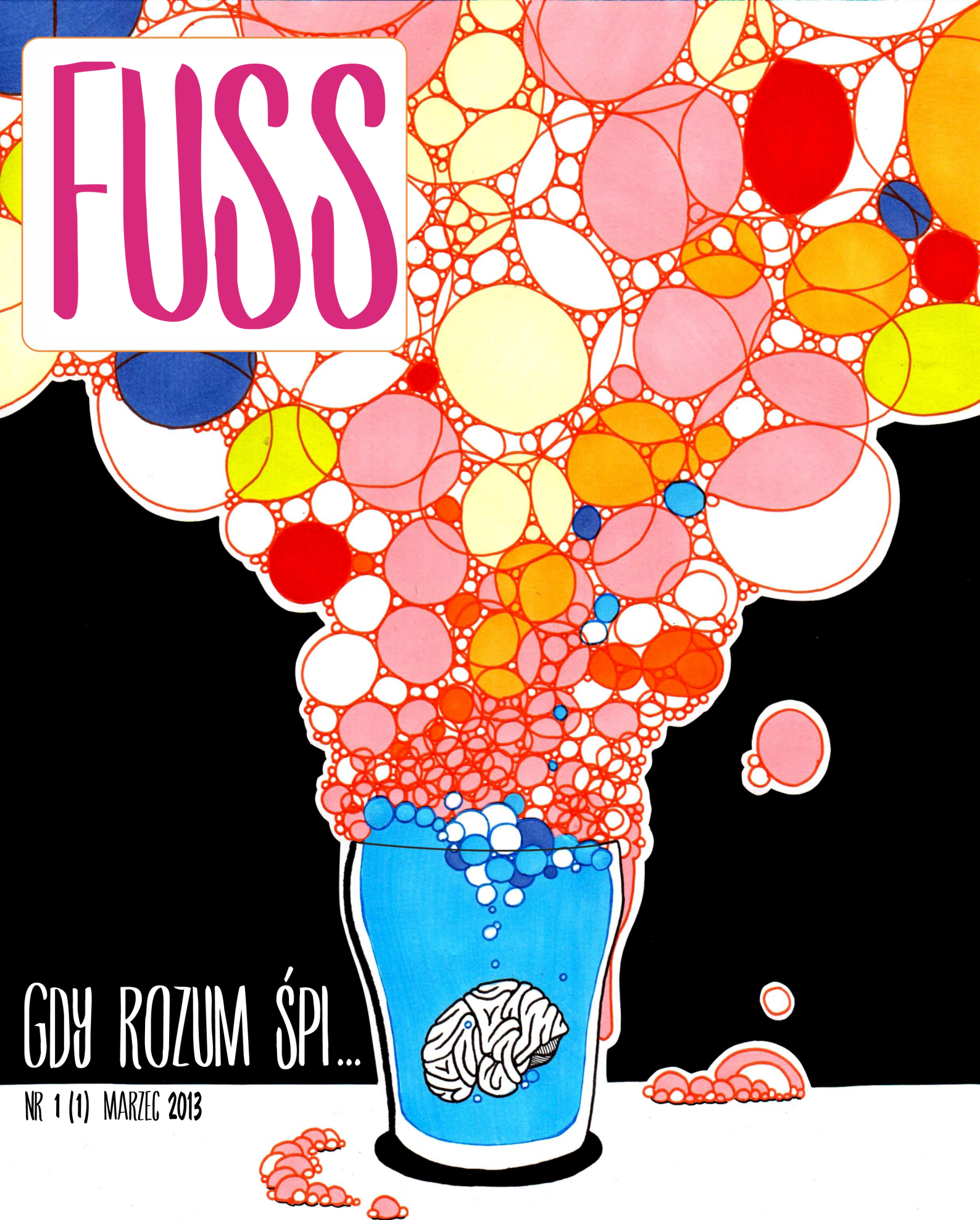


FUSS



GDY ROZUM ŚPI...

NR 1 (1) MARZEC 2013

**WIOSKA FANTASY • MAJA KOMAN • SQUATY
AROMAPOETRY • FEMINIZM • ŻŁOB-ART**

W NUMERZE:

4. **MAKING FUSS**
GUMMO PHOTOS, SZPAGART, SLAM

MIĘDZY SŁOWAMI

6. **AROMAPOETRY**
Agata Kołodziej



8. **TEAM BELLA**
Katarzyna Wabik

ZASŁYSZANE

12. **NAGOŚĆ JEST WE MNIE**
wywiad z Mają Koman

GDY ROZUM ŚPI - felietony

16. **WYBORY WAGINY**
Natalia Grubizna / Nat Gru

19. **JAKI KRAJ, TAKIE PODRÓŻE
W CZASIE**
Krakowska Kołtatajowska Kuźnia
Prawdziwych Mężczyzn

MIĘDZY INNYMI

22. **ALTERNATYWNA
SPOŁECZNOŚĆ
W ŻYWEJ SCENO-
GRAFII**

Adrianna Markowicz
i Remigiusz Maciupa



26. **CO BYŁO ZANIM MIAŁAM BZIKA
I ŚWIRA? Świat oczami dziecka
z autyzmem**

Kamila Chojnacka

29. **JESTEŚ ROWEREM?**
Justyna Stasiowska

32. **HOW LONG IS NOW, CZYLI ŻYCIE
NA SQUACIE**

Aleksandra Piotrowska

38. **PRZYJACIEL NA KAŻDĄ OKAZJĘ**
Sonia Kaczmarczyk

41. **KRÓTKA HISTORIA GIČY
BULDOŻEROWCA, czyli szalenieć
czy bohater postkomunistycznej
Rumunii**

Paweł Słoń



42. **JEŚLI NIE MOGĘ TAŃCZYĆ, TO NIE
JEST MOJA REWOLUCJA**

Magdalena Kunz



KĄTEM OKA

47. **CONTEMPORARY ART. SHIT.
ŻŁOB- ART na Ukrainie.**

Weronika Gogola

50. **WAGA SZCZEGÓŁU**
wywiad z Grzegorzem Zariecznym

W DRODZE

53. **LENIN NA NARTACH**
Olek Ostrowski

OD SZATNI

56. **MARADONA Z BAHRAJNU**
Michał Oberc

59. **LONGBOARDING, CZYLI DLA-
CZEGO CI CHŁOPCY MAJĄ TAKIE
DŁUGIE DESKOROLKI?**
Piotr Kosmala

61. **ZJAZD Z PRZESZKODAMI**
wywiad z Marcinem Bocianem

„GDY ROZUM ŚPI...”

...budzą się demony”, chciałoby się dopowiedzieć. My jednak urywamy w tym miejscu, a reszta jest już tylko kwestią Waszej interpretacji, przestrzeni dla twórczych myśli i polemik. Mimo że tytuł odruchowo uruchamia kulturowe konotacje, u nas kończy się na wielokropku. O kulturze myślimy bowiem w sposób nie-sztampowy, interdyscyplinarny. Remiksujemy, redefiniujemy, odtwarzamy, ale również tworzymy. Bez ograniczeń.

Dlatego właśnie powstał FUSS. Magazyn budzi się do życia (gdy rozum śpi), jako odpowiedź na lukę, która zaistniała w polskiej prasie. Po jednej stronie znajdują się specjalistyczne pisma o sztywnej strukturze i naukowej treści, po drugiej – magazyny, w których zdjęcia mody i krótkie notki stanowią pozór zawartości zajmującej się problematyką kultury. Chcemy być pomiędzy: o kulturowych i społecznych zjawiskach pisać w ciekawy i przystępny sposób (jak opisany w tym numerze squatting, s. 32, czy projekt Wioski Fantasy, s. 22), dowcipnie mówić o rzeczach ważnych (czego przykładem wychowanie dzieci autystycznych, o którym piszemy na s. 26) i analizować sprawy z pozoru błache (jak zjawisko aromapoezji na s. 6). W FUSSie nie zabraknie też miejsca dla małych kroków dla ludzkości, a jakże dużych dla pojedynczego człowieka (vide: s. 53, gdzie Olek Ostrowski pisze o zdobyciu Piku Lenina).

Gdy rozum śpi, budzą się wyobraźnia i niestandardowe myślenie. Do nich chcemy was zachęcić – nie tylko jako czytelników, ale także jako potencjalnych autorów. FUSS ma ambicję być przestrzenią współtworzoną przez Was – odbiorców kultury, ludzi aktywnych społecznie, kulturowo lub sportowo. Tych, którzy są otwarci na doświadczenia, mają ciekawe zainteresowania, lecz nie zamykają się na to, co nowe i świeże.

Z drugiej strony – przy śpiącym rozsądku budzą się demony i występuje zanik kontroli. Nie muszą one jednak oznaczać złego licha. Sieją zamęt, zamieszanie, ale pozorny nieporządek, niczym w artystycznej pracowni, może być jak najbardziej twórczy. Pobudzony do życia FUSS jeszcze uczy się, jak istnieć w świecie licznych bodźców i chaosu, jak opowiadać, pobudzać i relacjonować, będąc jednocześnie nieograniczoną tubą dla mówienia o tym, co intrygujące. Mamy nadzieję, że stopniowo – wraz z Wami – będziemy dochodzić do tego, by usnąć rozum, ale nie dać się porwać chaosowi. By FUSS oznaczał zamieszanie i rozgardiasz, lecz w pozytywnym wymiarze, który niesie za sobą nieszablonowość, żywiołowość i temperament.

MAGDALENA URBAŃSKA
redaktorka naczelna

REDAKCJA:

redaktorka naczelna - Magdalena Urbańska
zastępczyni redaktorki naczelnej - Klaudyna Schubert
grafika i okładka - Barbara Wiewiorowska
webmaster - Artur Gacek
wydawca: CelEdu Anna Katarzyna Machacz

www.fuss.com.pl // redakcja@fuss.com.pl

GUMMO

PHOTOS

**DZIĘKI GUMMO PHOTOS
MOŻESZ STAĆ SIĘ
KOLEKCJONEREM,
NIE BĘDĄC
JEDNOCZEŚNIE
MILIONEREM.**

Gummo Photos oferuje najlepszą młodą polską fotografię. Odbitki drukowane są na najwyższej jakości papierze barytowym i dostępne są w najniższej możliwej cenie. Każde zdjęcie sygnowane jest przez autora, dzięki czemu zyskuje ono kolekcjonerską wartość. Gummo Photos reprezentują Yulka Wilam, Sonia Szóstak, Marcin Filipowicz, Joanna Gorlach, Dorotka Kaczmarek, Marcin Kosakowski i Marta Zgierska.

Gummo Photos działa dzięki wierze w to, że istota sztuki nie tkwi w jej wartości materialnej – dlatego oferuje stosunkowo taną sztukę. Kupując polską fotografię, wspierasz rodzimych artystów i rozwój tej dziedziny w kraju.

Zapraszamy na www.gummophotos.pl




**Najlepszy poeta
nigdy nie wygrywa**

Historia slamu w Polsce
2003-2012

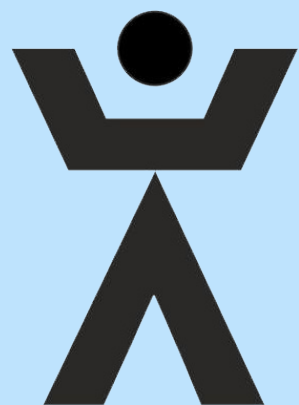
pod red. Agaty Kołodziej

DZIESIĘĆ LAT SLAMU POETYCKIEGO W POLSCE

Slam to konkurs poetycki otwarty na wszelkie środki wyrazu, to trzy minuty i mikrofon dla każdego, kto chce wystąpić i poddać się ocenie publiczności. Slam to także szerszy projekt, którego zadaniem jest przekroczyć nasze czytelnicze przyzwyczajenia oparte o fałszywą tezę, że krytyk literacki ma zawsze rację.

Formuła wieczorów poetyckich pod hasłem „Przyjdź pokrzyknąć na poetów” zadomowiła się w naszym kraju na stałe. W tym roku mija dziesięć lat od czasu, gdy Bohdan Piasecki zorganizował pierwszą tego typu imprezę. Z tej właśnie okazji wydana zostaje książka, która jest próbą zebrania i uporządkowania dotychczasowej wiedzy na temat slamu poetyckiego w Polsce, zarysowania skali tego zjawiska oraz jego wewnętrznego zróżnicowania, a także krytycznej refleksji nad jego miejscem we współczesnej polskiej literaturze.

Premiera książki odbędzie się w połowie kwietnia w Magazynie Kultury na krakowskim Kazimierzu. W kwietniu książka będzie dostępna do ściągnięcia ze strony Hubu Wydawniczego Rozdzielczość Chleba (<http://śc-ch.pl/>)



ROZERWIJ SIĘ... KULTURALNIE!

Szpagart to cykl comiesięcznych imprez artystycznych odbywających się w Poznaniu (klub Opcja, ul. Półwiejska 18). Idea „Szpagartów” opiera się na wszechstronnej kulturalnej rozrywce. W trzypiętrowym klubie każdy poziom oznacza nowe artystyczne doznania. Na pierwszym, który na czas imprezy staje się przestrzenią galeryjną, odbywa się wystawa prac różnych artystów.

Piętro wyżej punkt kulminacyjny Szpagartów – 2,5-metrowe płótno malowane na żywo przez dwójkę specjalnie zaproszonych do tego twórców. Malowanie każdorazowo kończy się licytacją stworzonego obrazu, a zmaganiom malarzy towarzyszy koncert. Na najwyższym piętrze wykonawcy improwizują do funkowej muzyki w wykonaniu DJa Kangura.

Jakby tego było mało – na jednej ze ścian Klubu wyświetlane są animacje różnych artystów. Do tego muzyczny „open mic”, możliwość kupna obrazów, darmowa pizza i każdorazowo cała gama nowych atrakcji. Mimo że mieszanka wydaje się być wybuchowa, to właśnie różnorodność działań sprawiła, że Szpagarty w Poznaniu zyskały status imprezy kultowej.

SZPAGART

Poetyckie inhalacje

Eduardo Kac i jego projekt aromapoezji

tekst: **Agata Kołodziej**
ilustracja: **Maria Dagmara Skiba**



Maria Dagmara Skiba - studiuje komunikację wizualną w Accademia di Belle Arti di Napoli. Ilustratorka, rysownicza, kulturoznawczyni.

Przeciwny czytelnik, zapytany o to, który z posiadanych przez niego zmysłów jest najistotniejszy w kontakcie z poezją, bez wahania odpowiada, że wzrok. Znajdą się jednak i tacy, którzy stwierdzą, że słuch, bo przecież wszelkie formy recytacji i innego typu wokalnych prezentacji poetyckich nie są dzisiaj niczym niezwykłym. Niewidomi czytelnicy, mając w pamięci swoje ulubione utwory zapisane językiem Braille'a, być może odpowiedzą, że dotyk. Któż jednak odważyłby się bronić opinii, że to węch jest najbardziej niezbędny w odbiorze poezji? Zapewne jedynie ci, którzy mieli już okazję zapoznać się z jedną z ostatnich prac znanego amerykańskiego artysty, Eduardo Kaca.

Nazwisko Eduardo Kaca powinno być wszystkim dobrze znane. Amerykański artysta kojarzony jest najczęściej z uroczym króliczkiem o imieniu Alba, któremu w 1999 roku wszczepiono gen fluorescencji, dzięki któremu, po uprzednim naświetleniu, królik mógł emitować jasnozielone światło. GFP Bunny jest bezwzględnie najsłynniejszym projektem Amerykanina. Jednak poza swoimi pracami związanymi z bioartem, Kac znany jest również ze swoich niekonwencjonalnych pomysłów na poezję. Warto zwrócić uwagę na ostatni projekt poetycki artysty, zaprezentowany w 2011 roku pod nazwą Aromapoezja.

Czym jest aromapoezja? Jak pisze sam autor na swojej stronie internetowej (www.ekac.org/aromapoetry.html):

„Aromapoezja jest nowym rodzajem poezji, w którym jednostka kompozycyjna (wiersz) stworzona jest z zapachów”. Specyficzny tomik poetycki Kaca, wydany zaledwie w dziesięciu egzemplarzach, składa się z dwunastu aromawierszy (*aromapoems*) prezentowanych w formie zapachowej na kolejnych stronach książki, nasączonych specjalnie skomponowanymi mieszankami. W celu zabezpieczenia stron przed zbyt szybkim ulotnieniem się zapachów, zostały one pokryte powłoką mezoporyczną, która zapewnia wolniejsze uwalnianie się molekuł, sprzyjając długotrwałości poematów. Możliwe jest także „doładowanie” książki, dzięki dołączonemu do publikacji zestawowi fiolek zawierających odpowiednie ekstrakty.

Poziom skomplikowania poszczególnych utworów jest bardzo zróżnicowany. Część z nich skonstruowana jest z jednej bądź dwóch molekuł, jednak zdecydowana większość zawiera ich aż dwanaście. Niektóre z wierszy mają wyraźnie wydzielone strefy zapachowe na karcie, z których każda posiada własny zestaw cząsteczek zapachowych. Poprzez zastosowanie procedur chemicznych poeta urzeczywistnia stworzony przez siebie projekt węchowego doświadczenia. Pozostawia jednak przy tym przestrzeń działań dla czytelnika – użytkownika książki. Jak podkreśla Kac, „jest rzeczą oczywistą, że jak w każdym rodzaju poezji, czytelnik jest aktywnym uczestnikiem, który interpretuje poemat i przypisuje mu swoje własne znaczenia, niezależne od oryginalnych motywacji pisarza”. Jedyny tekst, jaki znajduje się na kartach książki to tytuły kolejnych wierszy, które otwierają pole semantycznych odniesień dla ob-

cującego z książką użytkownika.

Wobec tego typu realizacji poetyckich subiektywna interpretacja dzieła poetyckiego nabiera szczególnego znaczenia. Nie mamy tutaj do czynienia z logicznie uporządkowanym językiem, podporządkowanym rygorom składni, jaki można spotkać w większości książek poetyckich. Odbiorca spotyka się w tej lekturze z ulotnym zapachem, który jednak wprawdzie oddziałuje na jego emocje, wywołuje wspomnienia, a dopiero potem może zostać zracjonalizowany poprzez formy językowe.

Książka została zaprezentowana kilka miesięcy temu na ZERO1 Bienalle w San Jose w Kalifornii. Na stronie internetowej informującej o wystawie jeden z użytkowników, podpisujący się pseudonimem Merlin, pozostawił następujący komentarz: „Chciałbym powąchać zapachowy przekład Szekspira”. Przypnie należy, że choć życzenie to jest bardzo interesujące, to jednak wydaje się mało prawdopodobne, abyśmy w najbliższym czasie mieli okazję zapoznać się z jego realizacją. Poezja przeznaczona do czytania nosem nie stanowi obecnie zagrożenia dla słowa pisanego i nie zastąpi go zapewne prędko, pomimo że tak wielu artystów od lat narzeka na ograniczenia języka. Nie zmienia to jednak faktu, że projekt ten stanowi istotny wkład do dzisiejszego myślenia o poezji, pokazując, że współczesne projekty poetyckie coraz bardziej wyzwala się ze sztywnej formy druku, otwierając się na nowe zmysły i nowe przestrzenie odbioru. 

Agata Kołodziej - doktorantka na Wydziale Polonistyki UJ. Interesuje się nieinstytucjonalnymi modelami lektury tekstu poetyckiego.

TEAM BELLA¹

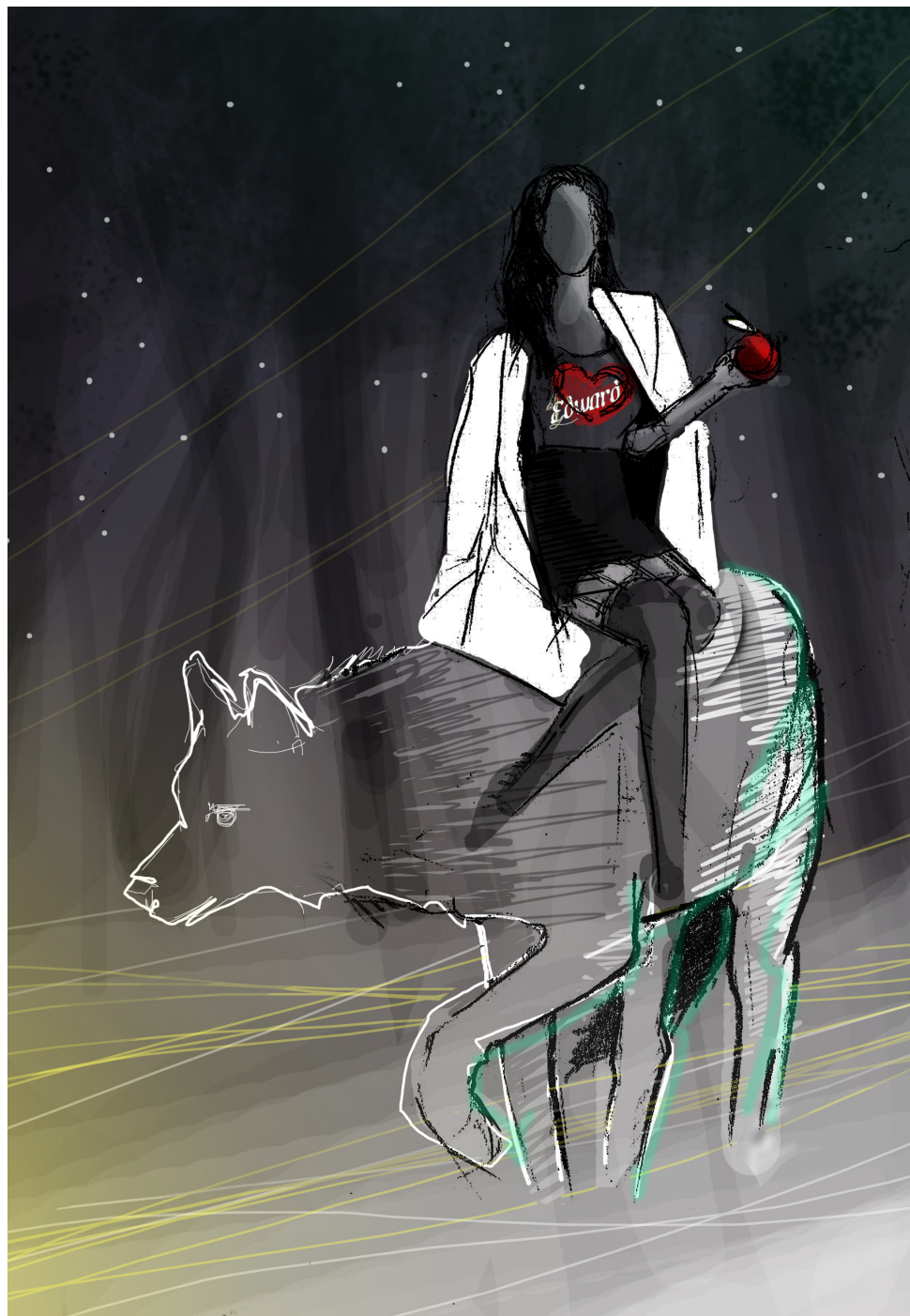
tekst: **Katarzyna Wabik**

ilustracja: **Agata Trybus**

Kilka tygodni temu ukazała się płyta DVD z filmem „Saga Zmierzch: Przed świtem. Część 2”. To już ostatnia część znanej serii, zrealizowanej na podstawie powieści Stephenie Meyer, która przez pięć lat ukazywała się co rok w kinach. Bilans: miliony widzów i czytelników oraz mnóstwo entuzjastów (a raczej entuzjastek). To dobry moment, aby przyrzeć się temu kulturowemu fenomenowi z perspektywy krytycznej.

W zagranicznych mediach i w środowiskach naukowych przetoczyła się dyskusja na temat stereotypowych ról płciowych, które książka utrwała. Feministki krytykowały Meyer za przedstawienie szkodliwego, zwłaszcza dla młodych czytelniczek, wzoru relacji damsko-męskiej, który książka według niektórych promuje. Związek bohaterów sagi został bowiem przeanalizowany pod kątem wytycznych podanych przez National Domestic Violence Hotline. Ponoć spełnia aż piętnaście kryteriów z listy niepokojących zachowań, mogących wskazywać na to, że w związku ma miejsce przemoc fizyczna lub psychiczna.²

¹ Nawiązanie do praktyki fanowskiej czytelników „Zmierzchu”, którzy podzielili sympatię pomiędzy dwóch książkowych rywali. „Team Edward” dla fanka wampira Edwarda Cullena i „Team Jacob” dla zwolenniczek wilkołaka Jacoba Blacka.



² <http://kar3ning.livejournal.com/545639.html>

Jako osoba zaznajomiona zarówno z treścią książek, jak i filmów, chciałabym przeanalizować tego typu zarzuty w kontekście treści utworu, skupiając się głównie na kwestii ról płciowych ukazanych w „Zmierzchu”. Trudno zignorować ogromną liczbę kobiet, które są „Zmierzchem” zachwycone. Zastanowię się więc, co to może znaczyć i z czego może wynikać.

Niewtajemniczonym należy się krótkie wprowadzenie w fabułę utworu: Bella Swan to typowa, niczym niewyróżniająca się nastolatka. W nowej szkole poznaje Edwarda Cullena, szkolnego przystojniaka, tajemniczego i małomównego outsidera. Nastolatków szybko zaczyna łączyć młodzińska miłość, rozgrywająca się w środowisku amerykańskiego college’u. To też moment, kiedy do historii wkraczają wątki fantastyczne. Edward okazuje się być wampirem, a najlepszy przyjaciel dziewczyny – Jacob Black – wilkołakiem. Od tej chwili dla Belli nic już nie będzie takie samo, ponieważ jako jedna z niewielu śmiertelników dowiedziała się prawdy o świecie, który jest zwykle ludziom niedostępny, a świadomość ta sprowadza na nią wiele niebezpieczeństw. Wokół tego skupia się zresztą oś fabularna każdego z tomów cyklu – bohaterka wciąż wpada w coraz to nowsze tarapaty, a ktoś stale czyha na jej życie. Wobec takiego spłotu okoliczności, wrogie od pokoleń wampiry i wilkołaki muszą połączyć siły aby ratować dziewczynę.

Oczywiście moglibyśmy powiedzieć, że taki sposób ukazania żeńskiej bohaterki – jako słabej, niesamodzielnej i wiecznie zdanej na czyjąś (najczęściej męską) pomoc – jest deprecjonujący.

Należy jednak wziąć pod uwagę wszystkie aspekty świata skonstruowanego przez Meyer. Słabość dziewczyny nie wynika z jej płci, tylko z jej statusu ontologicznego. Jest człowiekiem w świecie istot nadprzyrodzonych, obdarzonych wyjątkową siłą. Kiedy wreszcie zostaje przemieniona w wampira, staje się najsilniejszym członkiem swojej wampirzej rodziny. Wtedy również ujawnia indywidualną zdolność, jaką jest tzw. „tarcza” (z jej pomocą może bronić siebie i innych przed wpływem wampirów obdarzo-

ZDANIEM FEMINISTEK „ZMIERZCH” SPYCHA ROLE PŁCIOWE Z POWROTEM W CIASNE RAMY STEREOTYPÓW, KTÓRYCH POKONANIE ZAJĘŁO CAŁE LATA.

nych umiejętnością oddziaływania na umysł). Trzeba przyznać, że kobiety-wampirki w „Zmierzchu” nie są traktowane protekcjonalnie. Są równie jak mężczyźni obdarzone przymiotami takimi jak szybkość, siła czy nadzwyczajne talenty. W pojedynkach stają ramię w ramię z partnerami i podobnie jak oni ryzykują życiem (wampiry nie starzeją się i są odporne na obrażenia fizycznie, jednak istnieje określony sposób w który można je zabić).

Czytelnicy często zarzucali Belli brak zainteresowań (z wyjątkiem dosyć mało przekonującej sugestii o jej upodobaniu do literatury). Jednak zastanówmy się przez

chwilę, czy jakkolwiek bohater tej powieści ma hobby lub pasję? Pojawiają się wzmianki o muzykalności Edwarda i zamiłowaniu do mody jego siostry Alice, jednak są to aspekty traktowane przez Meyer bardzo pobieżnie. Jedynym czynnym zawodowo wampirem jest głowa rodu Cullenów – Carlisle. Reszta wampirów, niezależnie od płci, nie robi właściwie nic (choć część z nich wciąż się uczy). Wszystkie postaci stworzone przez Meyer są płaskie – żadna z nich nie wyraża zdecydowanych poglądów na sprawy polityczne czy społeczne.

Skoro mowa o kulturowych rolach płciowych, nie sposób pominąć dwóch bardzo ważnych wątków: inicjacji seksualnej Belli i Edwarda oraz ciąży Belli. Edward przez długi czas nie chciał z Bellą współżyć. Bał się, że nawet jeśli uda mu się zapanować nad pragnieniem picia jej krwi, to mógłby skrzywdzić dziewczynę nie panując nad swoją siłą fizyczną.³ Jednak pomimo świadomości zagrożenia i wielokrotnej odmowy partnera, dziewczyna przez cały czas dąży do fizycznego zbliżenia. Wreszcie dochodzi do niego w ostatnim tomie sagi, podczas nocy poślubnej młodej pary (taki był ostateczny warunek Edwarda, że spróbują, ale dopiero po ślubie). I tutaj pojawia się kwestia najbardziej oburzająca środowiska feministyczne: następnego dnia rano Bella budzi się posiniaczona, ale także bardzo szczęśliwa.

³ Jak pisała na ten temat Christine Seifert: „Abstynencja nigdy nie była bardziej seksowna niż w książce Meyer”. Amerykańska badaczka wspomina wręcz o nowym gatunku literackim wytyczonym przez „Zmierzch”, który nazywa mianem abstinence porn. <http://bitchmagazine.org/article/bite-me-or-dont>

Jej mąż natomiast jest zdruzgotany i pogrążony w rozpacz z powodu wyrządzenia krzywdy ukochanej. To powstrzymuje go od dalszych kontaktów cielesnych z dziewczyną. Ostatecznie jednak Edward ulega żonie, która domaga się zbliżeń, a kolejne kontakty pary przebiegają już bez obrażeń.

Co ciekawe, w „Zmierzchu” można zaobserwować subtelne odwrócenie tradycyjnie pojmowanych ról. Edward zostaje obdarzony przymiotami, które zwykle w naszym wyobrażeniu skorelowane są z kobiecością: jest czuły, uczuciowy i wrażliwy (być może momentami przewrażliwiony). Zdarza mu się wyolbrzymiać problemy, dramatyzować i odrobinę się nad sobą użalać. Ponadto przywiązuje wagę do ślubu i powstrzymuje partner-



kę przed zbliżeniem fizycznym. Jest uosobieniem tradycyjnych wartości. Ona natomiast dąży do inicjacji seksualnej i skłania do niej partnera. Początkowo wizja ślubu ją przeraża i deklaruje, że go nie chce. Jest znacznie bardziej opanowana od swojego partnera. Nie chce korzystać z jego pozycji społecznej ani z jego statusu majątkowego, ponieważ dobra materialne nie są dla niej istotne. Dodatkowo Bella nie interesuje się tym, czym stereotypowo interesują się kobiety, czyli na przykład modą (ten szczegół jest w powieści podkreślany wielokrotnie).

Kolejnym istotnym wątkiem jest ciąża Belli. Dziewczyna zachodzi w ciążę z wampirem – co jest sytuacją niezwykle nawet w tym nadzwyczajnym uniwersum. Płód będący pół-wampirem stanowi dla niej poważne niebezpieczeństwo. Z uwagi na własne życie i zdrowie jest namawiana przez wszystkich członków rodziny, łącznie z mężem, do usunięcia ciąży. Dziewczyna podejmuje jednak decyzję, że pomimo wszystko nie chce się dziecka pozbywać. Cóż, taki obrót sprawy nie spodobał się zwolennikom „Pro-choice”, którzy oskarżyli Meyer o antyaborcyjny przekaz. Widzę jednak pewien paradoks w takim myśleniu – suwerenna decyzja Belli o niedokonaniu aborcji jest traktowana podejrzliwie jako treść antyaborcyjna i antyfeministyczna. Można zarzucić autorce, że w jej książce wszystko dobrze

**„ZMIERZCH”
TO POWRÓT
WARTOŚCI JESZCZE
DO NIEDAWNA
UWAŻANYCH ZA
STAROŚWIECKIE,
A TERAZ
PONOWNIE
UZNANYCH
ZA ATRAKCYJNE.**

się kończy – dziewczyna nie dokonuje aborcji, a mimo to żyje i rodzi zdrową córkę, a cała rodzina jest szczęśliwa. Dobrze wiemy, jak wiele historii tego typu w „prawdziwym życiu” nie ma happy endu. Jednak szczęśliwe zakończenie jest efektem praw świata stworzonego przez Meyer – Bella może przeżyć jedynie dlatego, że zaraz po trudnym poro-

dzie zostaje przemieniona w wampira. Bohaterce zarzucano także bierną postawę życiową. Tymczasem nie jest to właściwie prawda – nie podoba jej się to, że jako człowiek jest łatwym celem dla wrogów. W związku z tym mimo sprzeciwów Edwarda, dąży do przemiany w wampira, po to, by móc bronić siebie i swojej rodziny. Do niej należy wybór mężczyzny z którym chce spędzić życie (o jej względy toczy się rywalizacja pomiędzy Jacobem i Edwardem). Jej decyzją jest również przeprowadzka, od której rozpoczyna się cała historia (Bella przenosi się do Forks, żeby zamieszkać z ojcem). Pomiędzy pierwszą częścią książki a ostatnią dziewczyna przeistacza się z nastoletniej ciamajdy w kobietę pewną siebie i odważną. Jako wampir zyskuje nową tożsamość i dopiero wtedy czuje się sobą. Feministki uwierają jednak fakt, że Bella doznaje życiowego spełnienia i przemiany u boku mężczyzny.

Wydaje się, że być może patrząc przez pryzmat political correctness czasem zbyt pochopnie dopatrujemy się szkodliwych treści w tekstach kultury. Pamiętajmy, że „Zmierzch” nie jest historią o deprecjonowaniu kobiet. Jest przede wszystkim opowieścią o młodzińskiej miłości z wampirami i wilkołakami w tle.

W ostatecznym rozrachunku „Zmierzch” stanowi pochwałę tradycyjnych wartości, takich jak miłość, rodzina czy wstrzeźliwość seksualna. To, co wydaje mi się najciekawsze w całym fenomenie, to właśnie ten świadomy powrót do tego, co tradycyjne (czyli do wartości jeszcze do niedawna uważanych za staroświeckie, a teraz uznawanych przez młode kobiety za atrakcyjne).

Zdaje się, że rozbieżność opinii dotyczących „Zmierzchu” to spór o różne wizje i sposoby przedstawiania romansu, erotyki, miłości i relacji damsko-męskich w ogóle. Meyer zaproponowała własne wyobrażenie miłosnej historii, które, jak się okazało, podzielały miliony kobiet na całym świecie. Interesującą sugestię wysunął amerykański krytyk filmowy Owen Gleiberman. Uważa, że przez dwie dekady władzę nad rynkiem popkultury i nad tym, jakie filmy są produkowane, mieli nastoletni chłopcy. W ramach tego powstały niezliczone ekranizacje komiksów, opowieści o superbohaterach oraz filmy akcji. Gleiberman uważa jednak, że wraz ze „Zmierzchem” czas dyktatury chłopców dobiegł końca.

Nowy rodzaj władzy należy teraz do kobiet. Ich dominacja nad kinem może przynieść korzyści dla tego medium, jako że żeńska widownia ma upodobanie do nastroju, historii i romantyzmu. Być może właśnie to będziemy oglądali na ekranach przez najbliższe lata, zamiast wybuchów, akcji i efektów specjalnych.⁴

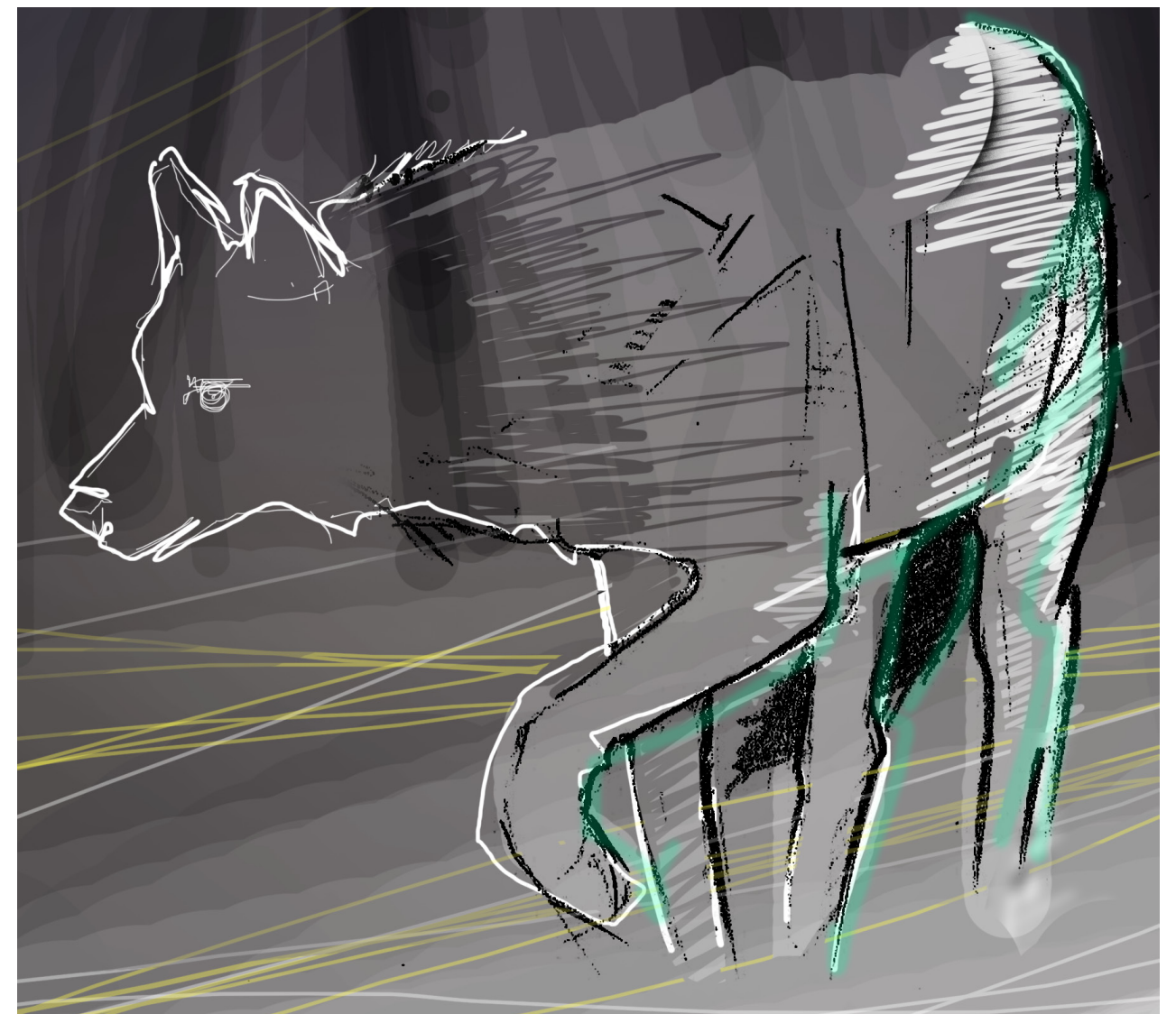
Fanki „Zmierzchu” to kobiety mające odwagę powiedzieć otwarcie i bez wstydu: „Pomimo wszelkich możliwości, jakie współcześnie mamy i których jesteśmy świadome, pragniemy i potrzebujemy romansu rodem z *Wichrowych Wzgórz*. Wartości tradycyjne nam się podobają.” Postać Belli Swan zdaje się nieść przesłanie: jeśli chcesz, by się tobą opiekowano, by cię broniono i ratowano z opresji, by o ciebie walczyć, by cię

kochać – to wszystko z tobą okay. I kto wie, może nie jest to wcale miłowy krok wstecz dla feminizmu, ale nowe oblicze girl power?

⁴<http://insidemovies.ew.com/2009/11/26/new-moon-why-its-good-for-the-future-of-movies/>

Katarzyna Wabik - kulturoznawczyni zainteresowana kulturą wizualną. Kuratorka wystaw, autorka projektów i animatorka kultury.

Agata Trybus - magister Form Przemysłowych, studentka Architektury Wnętrz. Projektantka, z zamiłowania instruktorka fitness i Zumby.



Jesteś artystką wszechstronną: śpiewasz, grasz i malujesz. Czy te różne rodzaje twórczości wpływają ze wspólnej inspiracji?

Wspólnym mianownikiem jest wyrażanie swoich emocji. Narzędzia nie są ważne. Może to być pędzel albo melodia. Zupełnie co innego przekazujesz śpiewem, a co innego obrazem. Ja łączę to wszystko, na przykład dbam o wizualną stronę naszych koncertów – o scenografię, stroje czy wizualizacje, które są niczym innym jak obrazami.

Jak się zaczęła twoja przygoda z malarstwem?

Malarstwo to przypadek. Choć zawsze lubiłam rysować, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby chwycić pędzel i malować. Odkrył to we mnie mój były chłopak. Był malarzem. Któregoś razu dał mi płótno i pędzel, mówiąc: „nie myśl – maluj!” I namalowałam. Rok później nawiązała ze mną współpracę łódzka galeria Kredens. Teraz maluję rzadko, tylko żeby na chwilę uciec od świata albo dać komuś oryginalny prezent. Marzy mi się jakiś cykl prac, ale niestety nie mam środków i czasu, bo w pełni oddałam się muzyce, którą kocham najbardziej.

Mówisz jakby do sztuki wystarczyły chęci. A warsztat? Jesteś malariskim i muzycznym samoukiem?

Do niczego nie wystarczą tylko chęci, trzeba mieć przede wszystkim pomysł, a potem ciężko pracować. Warsztatu można się nauczyć, ale co komu po warsztacie, jak nie ma pomysłu? Owszem, jestem samoukiem we wszystkim, co robię. Lubię siebie zaskakiwać, próbować nowych rzeczy i lubię robić to sama, metodą prób i błędów. Jeśli ktoś przekazuje mi bezpośrednio wiedzę,

wówczas nie sprawia ona satysfakcji. Jak to powiedział Woody Allen: „zajęte ręce to szczęśliwe ręce”. I ja tak mam. Oprócz efektu końcowego, który jest wisienką na torcie, najbardziej kocham samo tworzenie.

Jeśli ode mnie
by to zależało,
wszyscy
chodziliby
nago – wtedy
byłoby nie
tylko śmiesznie,
ale
i prawdziwie.

Czyli domyślam się, że sama też pisesz teksty?

Sama piszę teksty i komponuję. Czasem najpierw jest słowo, a potem muzyka, czasem na odwrót. Nie ma rzeczy ważnej i mniej ważnej, bez słów nie miałabym jak śpiewać, bez muzyki słowa też nic nie znaczą... Wszystkie szczegóły – tak w muzyce, jak również w słowie, stroju, scenografii, wizualizacji czy makijażu – tworzą spójny obraz i całość, która mnie wyraża.

Łatwiej ci wyrazić siebie po angielsku?

Planuję trasę za granicą, a angielski rozumie każdy... Po polsku także piszę, ale mniej. Nie jestem na to gotowa. Zrobię kiedyś całą polską płytę, ale mu-

szę do tego dojrzeć – teraz inspirację przynoszą mi teksty francusko-angielskie. Choć na płycie będą dwa polskie utwory.

Śmiem twierdzić, że jesteś osobą oryginalną, ekscentryczną, lecz dziś wielu przybiera tę pozę, by zaistnieć. Jak zatem zachować autentyczność?

Kiedy człowiek udaje kogoś, kim nie jest, to prędzej czy później wychodzi to na jaw. Jeżeli ktoś żyje muzyką, tworzy ją, a na scenie sprzedaje autentyczne przeżycia i wrażliwość – to widać i czuć. Urodziłam się uparta i ekscentryczna, jestem też ekshibicjonistką, jak większość artystów. Niczego nie musiałam i nie muszę udawać. W byciu artystką kocham właśnie najbardziej fakt, że mogę wyrażać prawdę, choćby była bardzo bolesna – na przykład w tekstach piosenek czy wywiadach. Tylko tak można zachować autentyczność. Jeżeli muzykę pisze ci producent, słowa wymyśla ktoś inny, a ty masz tylko dobrze zaśpiewać i wyglądać, to tak naprawdę nic od siebie nie wnosisz. Fajny głos to wiele, ale nie wszystko. Jak masz pomysł i narzędzia – istniejesz. Jak nie masz pomysłu, tylko narzędzia – istniejesz przez chwilę i zastępuje cię kolejna chwilowa gwiazdka. Przykładów scenicznego zakłamania w Polsce i poza nią jest tyle, że szkoda na nie papieru.

Myślisz, że tobie się udaje tę autentyczność zachować?

Piszę teksty o swoich przeżyciach i myślach, sama komponuję, mam pomysł na wszystko od A do Z. Jestem prawdziwa i szcera w sztuce, którą uprawiam.

Nagość jest we mnie

Energetyczna, melancholijna, żywiołowa, refleksyjna... Czy tak sprzeczne cechy mogą mieścić się w jednej postaci? Mogą. Przykładem Maja Koman, kompozytorka i wokalistka, osoba o wielu twarzach i talentach.

Nie jest to gwarancja, że dobrze się sprzedam – choć mam taką nadzieję – ale na pewno nie można mi zarzucić fałszu, udawania czy kopiowania.

A gra z seksualnością, której dużo w twojej muzyce i sceniczności? Kołysanka Stary Niedźwiedź mocno śpi, którą zaśpiewałaś w programie „Must be the music”, to w twoim wydaniu utwór niemal erotyczny...

(Śmiech) Nie wiem, co powiedzieć. Po prostu taka jestem. To żadna gra, nagość nie jest dla mnie tabu! Ciało ludzkie uważam za piękne, jest się wtedy bliżej natury... Moje piersi nie są żadnym tabu, mam mnóstwo takich zdjęć czy nawet wideo, ale sensem jest pokazanie tego w oryginalny sposób. Jeśli ode mnie by to zależało, wszyscy chodziliby nago – wtedy byłoby nie tylko śmiesznie, ale i prawdziwie.

Odnoszę wrażenie, że kipsz energią i jesteś żywiołowa, zaś twoja muzyka jest spokojna, delikatna, wręcz melancholijna. Skąd w niej taka doza wyciszenia i wrażliwości?

Jestem choleryczką i histeryczką, jestem bardzo żywiołowa i kipię energią – to fakt. Jednak życie daje mi tak popalić, że smutek topię w tych spokojnych utworach i dzięki nim się wyciszam. Przechodzę dzięki nim taką formę autopsychoterapii. Mam jednak plan, aby rozwinąć projekt Koko Manów, gdzie będzie więcej energii,

trochę mniej melancholii – tak żeby potupać nóżką, a nie płakać (śmiech).

Twoja muzyka jest charakterystyczna i nietypowa, także poprzez ukulele. Jak zaczęła się przygoda z tym niezbyt popularnym instrumentem?



Ukulele poznałam przez przyjaciela. Przywiózł ten instrument z Londynu. Zakochałam się w jego brzmieniu, a w końcu dostałam ukulele w prezencie. Zamknęłam się w domu i zaczęłam ćwiczyć. I tak już zostało. Choć większość utworów skomponowałam najpierw na pianinie. Teraz pojawiła się też karimba – pierwszy utwór jest już w sieci. Kocham poznawać nowe instrumenty, chciałabym grać na wszystkich!

Zaznaczyłaś, że niechętnie rozmawiasz o „Mam talent” i mówisz,

że był to tylko rodzaj promocji zespołu. Ciężko dziś zaistnieć w showbiznesie?

Zaistnieć to żaden problem, mamy na to tysiące przykładów w talent show i brukowcach. Gorzej się w tej branży utrzymać, nie tracąc sił, pomysłów i nie dając się pożreć rekinom showbiznesu. Ja jeszcze nie zaistniałam tak naprawdę, a już uważam, że to najpaskudniejsza z branż. Spokojnie sobie tworzyłam i chciałam po prostu grać koncerty. Ale co chwilę ktoś rzuca kłody pod nogi, aż przestajesz ufać komukolwiek. Wiele ludzi z zazdrości chce cię zjeść na obiad... (śmiech) A to dopiero początek! Scena rekompensuje jednak te rozterki, bo występ na scenie to coś niewytłumaczalnego i uzależniającego. To jest ta najlepsza strona.

Zdążyłaś już zagrać z Czesławem Mozilem, supportować Fisza i Emade, Alisdaira Boucha, Keva Foxa i innych. Jakie są twoje dalsze plany?

Płyta, trasa koncertowa, wyreżyserowanie klipów do wszystkich kawałków. Potem następna płyta o innej energii. A potem... zobaczymy! (śmiech)

Dokończ zdanie: gdy rozum śpi... serce podejmuje ryzykowne decyzje.

Życzymy zatem ryzykownych decyzji, zakończonych sukcesami! Dziękuję! 🍷

Maja Koman (ur. 1988 w Poznaniu) – kompozytorka i wokalistka, artystka multimedialna. Tworzy dwa autorskie projekty: Maja Koman & ukulele oraz Koko mani. Wiosną ukaże się nowa płyta pod szyldem pierwszego projektu, której produkcji podjął się Jarosław Wójcik z warszawskiego Studia Genetix, a muzycznie towarzyszy jej kontrabas Piotra Masternaka i skrzypce Pawła Ernsta. Więcej o artystce na: www.majakoman.com.

Mateusz Drabent - absolwent fotografii na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu.

Wybory waginy.

Która część ciała zakochuje się najpierw?

tekst: **Natalia Grubizna / Nat Gru**

ilustracja: **Barbara Wiewiorowska**

To nie nasze głowy, serca czy co tam jeszcze zakochują się pierwsze i czas to sobie wreszcie uświadomić.

Jakiś czas temu całkiem publicznie zapierałam się rękami i nogami, że związki nie są dla mnie, bo zabierają mi moją uwagę, czas i wolność. Głosiłam na prawo i lewo, że potrzebuję nie uczuciowej stabilizacji, a seksu, bo tak na życie i o własnych bólach to już mam z kim gadać. Żadnych ballad – tylko romanse. Podział był jasny – kopulant do sypialni, przyjaciele do spotkań przy piwie i uczestniczenia w wydarzeniach kulturalnych. Pozbawiłam się złudzeń, że wszystkie pożądane cechy znajdę w jednym człowieku; potrzebuję tych ludzi co najmniej kilkorga, każdego z jasno przypisaną funkcją. Od razu zaznaczam, że układy poliamoryczne to zupełnie nie moja bajka.

Poszukiwania przystępnego kopulanta miały więc niewiele wspólnego z wyborem rozumowym (skoro i tak nie muszę wysłuchiwać historii o beznadziejnym dzieciństwie i apodyktycznym ojcu oraz negocjować opcji chrzczenia potomstwa), a polegały na zwróceniu uwagi na... reakcje czysto cielesne – o przyszłych seksualnych poczynaniach, już nie pierwszy raz, pozwoliłam zdecydować waginie. Postanowiłam uważnie przyglądać się temu, na ile dany obiekt mnie podnieca lub nie podnieca.

W tym miejscu trudno nie nawiązać do podwójnych standardów płci. Zarzucanie facetowi „myślenia penisem” to wyraz najwyższej pogardy. Jak bowiem coś tak małego w skali wszechświata można posadzić za sterami relacji międzyludzkich? W takim porządku świata kobiety wydają się kompletnie odizolowane od swoich wagin, przytłoczone przez męską rozbuchaną seksualność, więc – dla równowagi – żadne „tam na dole” ich nie zajmuje. Nieraz obydwie płcie unosiły ze zdziwieniem brwi, gdy głosiłam, że „kobiety są tak

samo napalone, jak mężczyźni, tylko lepiej ukrywają wzwoły”. Bo czas wreszcie pogodzić się z faktem, że ani kobieta, ani mężczyzna nie napalają się na wszystko, co się rusza i w miarę odpowiada ich orientacji seksualnej. Pośpęd wysyła sygnały do genitaliów, które raportują od czasu do czasu, co im się podoba.

Myślenie genitalne jest rozsądne z ewolucyjnego punktu widzenia, choć może nie zawsze dobre dla zdrowia psychicznego. Dla dziewczyn oksytocyna, odpowiadająca za przywiązanie do partnerki/partnera, bywa prawdziwą suką. Wzajemny, silny pociąg erotyczny – taki doświadczany z dala od zdroworozsądkowego podejścia – jest gwarantem w miarę udanego potomstwa. I od razu proszę schować pogardę, że kobiety głupie, bo nic dla siebie, a wszystko dla dziecka. Bo tego dziecka nawet nie musi być w planach. Każdy gatunek opiera swoje poczynania na trzech filarach: jedzeniu/wydalaniu, aktywności/spaniu i seksie. Wypadałoby więc, by ten seks był chociaż w miarę udany.

Gdy rzecz dotyczy się kobiet, czas pogodzić się z faktem, że dla nas samych myślenie waginą czasem okazuje się zbawienne i staje się obietnicą orgazmów. Żadne chodzenie do łóżka „z miłości”. To nie nasze głowy, serca czy co tam jeszcze zakochują się pierwsze i czas to sobie wreszcie uświadomić. Kultura sprawiła bowiem, że dziewczyny zaczęły wierzyć nie tylko w magię pierwszego razu, ale też z lubością myślą podniecenie z zakochaniem. Bo jak pojawiają się jakieś motylki i wilgotnienie, to niechybnie miłość, gdyż dziewczynki są zbyt dobrze wychowane, by się tak zwyczajnie, po chamsku nawilżać i podniecać. W tej wizji świata dziewczyna powinna dążyć nie do orgazmów i fajerwerków w sypialni, ale do jak najszybszego ustatkowania się.

Barbara Wiewiorowska - po zrobieniu licencjatu z filmoznawstwa na poznańskim UAM-ie z rozpędu kontynuuje ten kierunek. Kiedy dorosnie, chciałaby zająć się rysowaniem komiksów i ilustracji do książek.

Wiem jedno: zakochiwanie się i wchodzenie w związek „z rozsądku” prowadzi donikąd. Gdy, poznając nową osobę, na pierwszy rzut oka, ucha i powonienia nie zaczyna ci się impreza w majtkach, jaką możesz mieć pewność, że kiedykolwiek stanie się ona twoim udziałem? Człowiek może wydawać się spełnieniem marzeń – seksowny, sytuowany, inteligentny i zabawny. Ktoś, z kim bez obaw można by się zestarzeć. Ale reakcja na jego dotyk? Jakby całowała cię z młsnięciem cicia Jadzia, ta z wąsem. Najfajniejsze dziewczyny, tak bywa, niefajnie kończą z partner(k)ami, którzy/które ich nie podniecają, bo dokonując wyboru drugiej połówki nie posłuchały sprzeciwów swojej koleżanki waginy (albo chociaż jej wymownego milczenia i dąsów). W imię małej stabilizacji i zakodowanego w główkach społecznego wzorca z domkiem, ogródkiem, dwójką dzieci i labradorem, starały się wybierać tych, którzy mogą im spełnienie tej wizji zapewnić.

Czasem jednak wagina głupieje, to prawda. Dziewczyny niepewne siebie, pełne kompleksów potrafią reagować podnieceniem na jakikolwiek rodzaj okazanego im zainteresowania. Inne jeszcze robią się mokre zobaczywszy stan konta potencjalnej ofiary. Wagina swoje, a ryzyko twoje. Warto więc czasem poważnie przyjrzeć się cielesnym reakcjom na seksualne bodźce, w jakich okolicznościach się pojawiają i jacy ludzie je wywołują. Można wtedy dojść do naprawdę ciekawych wniosków. Zaś na drugim biegunie tendencji do nawilżania lub osuszania wagin siedzą babki ustawicznie pozwalające sobie na głoszenie mądrości w stylu „seks nie jest najważniejszy” lub uznające udawanie orgazmów za uprzejmość wyświadczoną drugiej stronie w zamian za starania. Gatunki tak samo społecznie szkodliwe.

Można się bowiem burzyć, że oksytocyna nam, kobietom, nie sprzyja, a uwalniający jej pokłady świetny seks wpływa na przywiązywanie się do dawcy orgazmów. Oto czas na odrobinę zdziwienia – silne orgazmy może ci zapewnić nawet ktoś,

kogo (jeszcze/już) nie kochasz. Oczywiście i tu istnieje pewne zagrożenie (patrz: uwaga o zachwianiu zdrowia psychicznego) – że przywiążesz się za bardzo do kogoś, kto traktuje cię jak małe mięso. Cóż, winą należy obarczyć własny koktajl hormonalny.

Czasem jednak wagina głupieje, to prawda.

Nigdy nie będę żałować romansów, w które wplątałam się, wyłączwszy uprzednio głowę. Po pierwszym beznadziejnym emocjonalnie doświadczeniu postanowiłam słuchać waginy, ale z nikim się nie stowarzyszać. Żadnych ślubów przed seksem, randek i opowieści o planach na przyszłość. Żadnego pielęgnowania emocjonalnych więzi. Jakże byłam naiwna. Za drugim razem, gdy już przestałam się na nią dąsać, wybrała tak, że dziś – kilka miesięcy po wskazaniu obiektu – ów obiekt pochrapuje i przewala się w łóżku obok, gdy piszę te słowa. A historia w tym samym łóżku się zaczęła. 

Natalia Grubizna - pornolożka i kolekcjonerka wrażeń. Obecnie kończy studia na Wydziale Filmu i Mediów Uniwersytetu Kopenhaskiego. Od sierpnia 2012 matka założycielka portalu proseksualna.pl.

Jaki kraj, takie podróże w czasie

Gdyby to państwo było zdrowe, to zmianą czasu zajmowałby się jakiś człowiek z głową na karku i sukcesywnie prowadziłby nas w jednym kierunku, co roku o godzinę, aż się nazbiera, a ja dzięki temu może kiedyś w przyszłości osobistej¹ spotkałbym terminatora lub komunistę.

tekst: **Kołatajowska Kuźnia Prawdziwych Mężczyzn**
ilustracja: **Jacek Kalinowski**

Ten system jest chory, bo jaki jest sens podróżować w przyszłość – choćby tylko raz w roku, o godzinę – skoro tego samego roku o tę godzinę cofamy się? Czy tylko ja widzę bezsensowność polskich podróży w czasie? W Ameryce, na ten przykład, społeczeństwo faworyzuje podróże w przeszłość. Argument? UFO. Amerykanie posiadają UFO, a stąd już krok do Batmana, a może i terminatora. W takim systemie jak nasz – chaotycznym, bo co roku wędrujemy „wte i wewte” – podróże w czasie są uludą. Co nam daje ta godzina w tajemniczej przyszłości, bądź w zapomnianej przeszłości? I to jeszcze w nocy, kiedy śpimy? Do tej pory prześpałem chyba każdą podróż w czasie.

Spotkałem się z wieloma argumentami odnośnie do tego, dlaczego powinniśmy skończyć ze zmianami czasu. Z jednej strony samobójstwa, z drugiej oszczędność energii bądź niewyspanie. Tak naprawdę powinniśmy skończyć ze zmianami czasów, bo to nie ma sensu.

W naszym kraju nie ma państwa. Gdzie indziej jest za to państwo takie jak słusznie wspomniana Ameryka. Tam od dawna jest wszystko, a zwłaszcza występuje tam także chroniczny brak przeważającej części z nas. W małym miasteczku w Ameryce uruchomiono podobno proces sprawdzania, jak faktycznie działa na ekonomię i gospodarkę proces zmiany czasu z letniego na zimowy i na odwrót.

Jak od dawien dawna ponoć wykazują skrupulatne badania: pierwszy dzień po zmianie czasu z letniego na zimowy jest dniem, w którym popełnia się najwięcej samobójstw. Z pewnością w różny sposób odbija się to na gospodarce, nie jest jednak w stanie zachwiać nią w taki sposób, abyśmy mogli to odczuć. Samobójstwa są jak feministki – niewiele mogą zmienić.

Ponadto udało się jeszcze ustalić jedną, istotną rzecz. Badając małe miasteczko – ponoć – położone w stanie Ajdajchoo, zauważono, że zmiana czasu, wymyślona i wprowadzona

ze względów ekonomicznych, absolutnie nie spełnia swojej funkcji. Mieszkańcy nie zaoszczędzili ani jednego złamanego dolara, wartego choćby ostatniego grosza, i to nawet z najbiedniejszej europejskiej kieszeni. Co jednak być może smutne, po zniesieniu zmiany czasu nie odnotowano spadku wskaźnika samobójstw czy chociażby nawet wzrostu liczby urodzeń.

Co zatem można zrobić z zaoszczędzoną godziną, zwłaszcza posiadając wiedzę, że będzie trzeba ją niedługo zwrócić? W zasadzie nic, bo każde z podjętych działań mogłoby wyglądać jak działanie absurdalnie spieszącego się człowieka. Człowiek absurdalnie spieszący się myje na przykład dwa razy kubek, żeby móc potem dwa razy z niego skorzystać, albo najpierw zakłada buty, bo ma je pod ręką,

¹ Zwracam uwagę na przyszłość osobistą, która może być przeszłością narodu w zależności od wyboru inteligentnego indywiduum, które miałoby zarządzać podróżami w określonym kierunku.

a dopiero potem próbuje na to założyć skarpety. Można też myć kilka razy pod rząd zęby, żeby mieć to z głowy na dłuższy czas lub próbować wypić jak najszybciej jak największą ilość piwa, by jak najszybciej wytrzeźwieć...

Co zatem można zrobić ze straconą godziną? Również nic, bo działania poświęcone próbom zapobiegania utracie takiej godziny przypominają działania człowieka absurdalnie zmartwionego. Czyli kogoś, kto potrafi zatracić się w radości, rozrzucić pieniądze i martwić się o to, że ma za dużo przyjaciół, wolnego czasu i przejmować się tym, że nie umiałby popełnić samobójstwa.

Dlaczego zatem potrzebna jest ta godzina więcej spania? Dowód tej potrzeby przedstawiają śpiący chłopcy, których widać często porozkładanych po różnych parkach, skwerach, parkach, klombach, bramach czy wręcz

kamienicach, klatkach schodowych, mieszkaniach, pokojach, barach i klubach. Zawsze ubrani stosownie do okazji, pieczołowicie oddający się rytuałowi snu. Ich zmiana czasów dotyka najbardziej. Wewnętrznie.

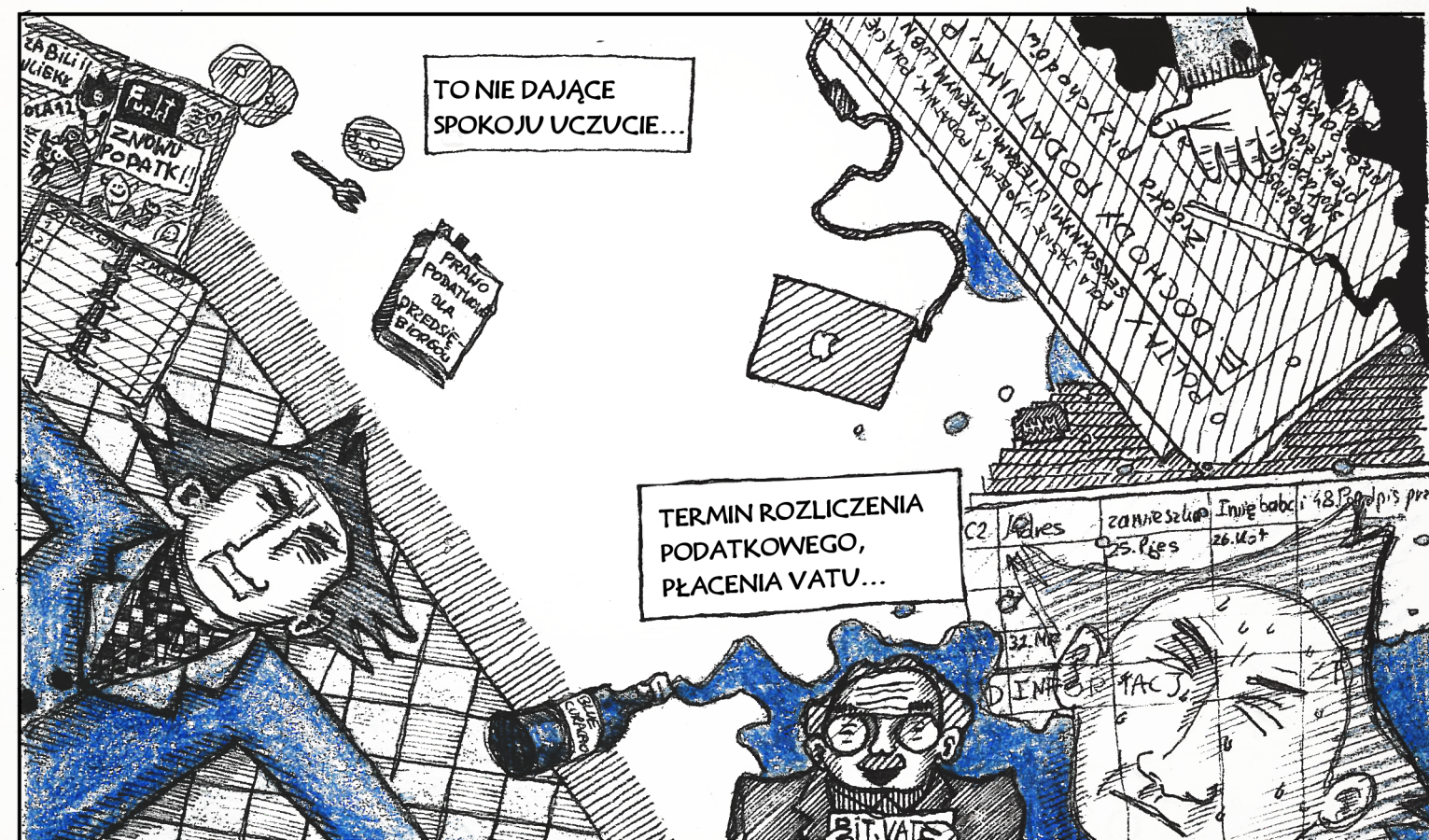
Gdy chłopcy śpią godzinę dłużej, nie przeszkadzają nawet samobójstwa. Przez sen są w stanie zrobić dużo więcej niż by nawet wymarzyli sobie na jawie. Wtedy, podczas snu, robi się wszystko. Gdy się wstaje, nie robi się nic. Czasy się zmieniają, żeby godzinę dłużej nic nie robić. Lub by godzinę więcej robić coś.

Zmiany czasu należy na przekór wszystkiemu przespać. Czasy się zmieniają, ale bardzo niepostrzeżenie. Robią to tak samo jak kończy się świat. A my jesteśmy jak takie małe łódeczki z kory, wrzucone do pienięgocego się górskiego strumienia.

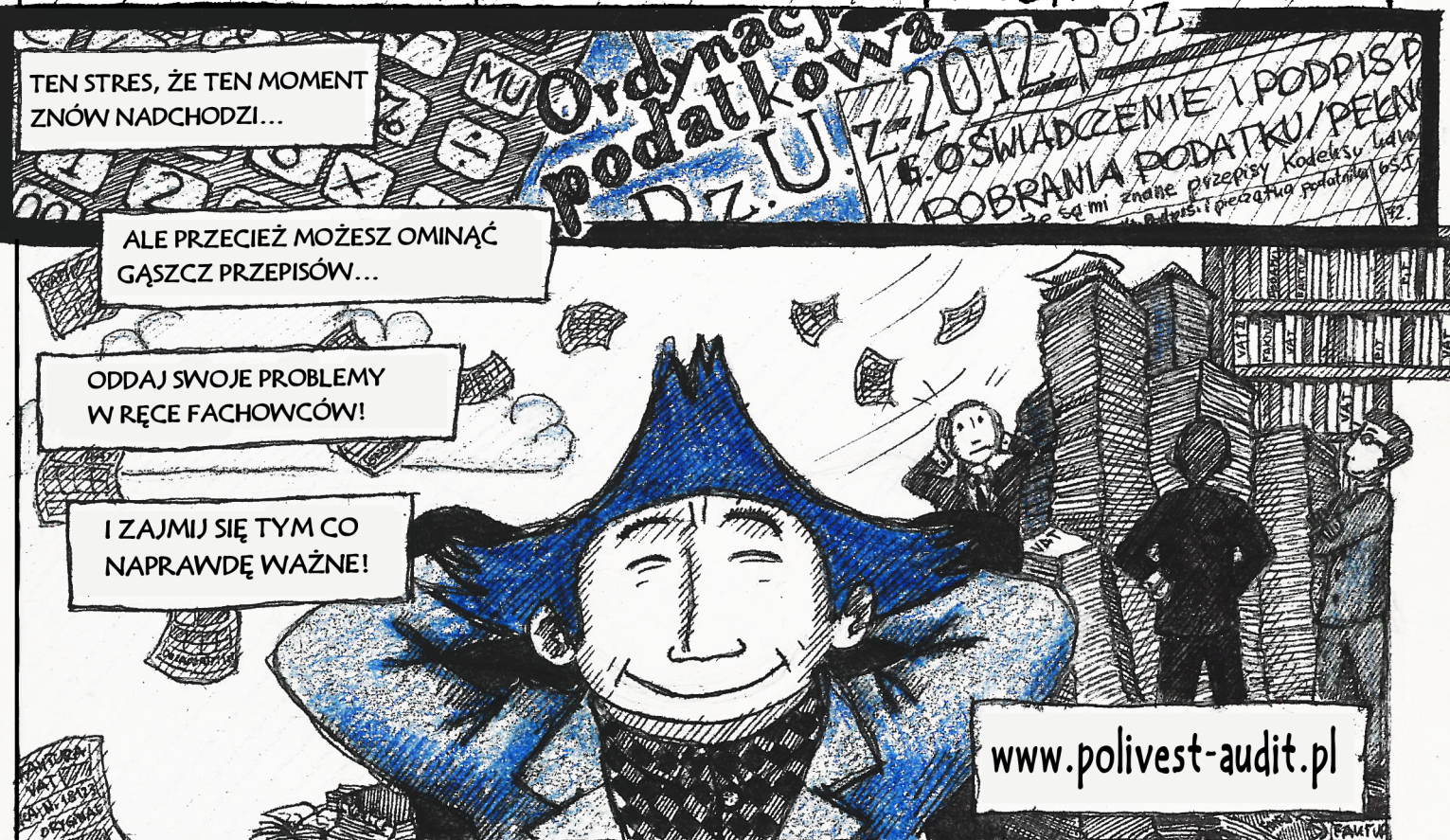
Czasy się zmieniają, bo jak przebiegnie się 200 metrów, to ma się ochotę na trzy rzeczy: puchar i rentę do końca życia, śmierć na polu chwały lub chociaż wolne miejsce w autobusie czy tramwaju. A kiedyś tak nie było. A każdy kiedyś musi dostać jakiś puchar. I każdy musi pojechać kiedyś do tego małego miasteczka w stanie Ajdajchoo, żeby się przekonać co tak naprawdę wnoszą zmiany.

Kołatajowska Kuźnia Prawdziwych Mężczyzn - romantyczna, studencka bohema artystyczna, w wydaniu Drużyny A, zrobionej za polski budżet. Najsmutniejsi idioci z miasta artystów. Nieudacznicy i biedacy. Śmiech przez łzy.

Jacek Kalinowski - rzemieślnik z wyboru artysta z przymusu, miłośnik dalekiego wschodu i futurologii, autor licznych grafik dla KKPM.



10. Zleceniodawca:		
POLINVEST-AUDIT		
biegli rewidenci, doradcy podatkowi		
11. Rysunki	12. Pieczęć zleceniodawcy:	13. Adres
Panel Ston		www.polinvest-audit.pl
14. Gmina	15.	16. e-mail
Kraków		biuro@polinvest-audit.pl



Alternatywna społeczność w żywej scenografii

tekst: **Adrianna Markowicz i Remigiusz Maciupa**
fotografie: **Klaudyna Schubert**

Wioska Fantasy – replika średniowiecznej osady zbudowana w podprzemysłowych Kuńkowcach, przez wielu postrzegana jedynie jako obiekt rekreacyjno-turystyczny, stanowi w rzeczywistości przestrzeń o wiele szerszą. Obszar działań Wioski Fantasy rozrasta się nie tylko fizycznie. Zespół skupiony przy projekcie na bieżąco uruchamia nowe aspekty funkcjonowania tego miejsca.

To, co dzieje się obecnie w Wiosce Fantasy jest fuzją perspektyw ludzi zaangażowanych w projekt, wypadkową naszych aspiracji, pomysłów na życie, na pracę i spędzanie wolnego czasu. Jesteśmy młodzi, realizujemy się na różnych polach, uczymy się od siebie nawzajem. Stawiamy na działanie, tworzenie wspólnoty, wolność i wzajemne inspirowanie się.

Wioskę Fantasy można opisać z wielu perspektyw, warto jednak przedstawić to miejsce z mniej oczywistego punktu widzenia. Projekt zakładający wybudowanie scenografii służącej grom terenowym obecnie zakłada również stworzenie i funkcjonowanie alternatywnej społeczności.

Wioska Fantasy jako żywa scenografia

Drewniana osada, choć z pozoru podobna do innych obiektów rekonstrukcji historycznej, w rzeczywistości różni się od nich zasadniczo – ze względu na to, że jest pierwszym w Polsce (i do tej pory jedynym) kompleksem budowli powstałym w charakterze scenografii do gier fabularnych zwanych „larpami”¹. Wioska Fantasy ma za zadanie zapewnić graczowi odpowiedni poziom immersji, by ten nie musiał skupiać uwagi na wyobrażaniu

sobie scenografii dzięki temu, mógł lepiej skoncentrować się na głębszych wymiarach gry. Do tej pory larperzy na potrzeby swych gier, wykorzystywali istniejące obiekty historyczne bądź stosowali scenografię umowną (jak w Dogville Larsa von Triera). Wioska Fantasy stanowi dla nich nową jakość, będąc przy tym fenomenem scenograficznym/teatralnym.

Wioska Fantasy to żywa terenowa scenografia. Stanowi zarówno przestrzeń gry, jak i przestrzeń życiową uczestników rozgrywki. Rekwizytami w tym wypadku są stylizowane przedmioty codziennego użytku, a dekoracje i fabularne wyposażenie wnętrza to prawdziwe meble i ozdoby. Jest to przestrzeń „żywa” również ze względu na to, że wciąż się rozwija i zmienia. Nosi znamiona przebywających w niej ludzi.

Całościowa koncepcja urządzenia Wioski jest bardzo ogólna. Wypełniające ją sprzęty stylistycznie odnoszą się do realiów wczesnego średniowiecza i konwencji low fantasy². Każdy z gości ma możliwość przywiezienia i (jeśli zechce) pozostawienia na miejscu przedmiotów utrzymanych w tej stylistyce. W Wiosce znajduje się skład narzędzi i podstawowych materiałów budowlanych (drewno, gwoździe, sznury itp.), z których może korzystać

każdy gość, któremu zamarzy się wykonanie prostego mebla, wyrzeźbienie sztućców, czy zrobienie jakiejś ozdoby. Dowolność panuje także przy stawianiu drobnych budowli czy sadzeniu roślin. Fantazję ogranicza jedynie stylistyka, w jaką wpisywać się mają dokonane zmiany. Opiekunowie Wioski Fantasy, dając chętnym gościom możliwość dowolnego tworzenia przedmiotów i kształtowania tej przestrzeni sprawiają, że jest ona zmienna, dopasowuje się do mieszkających tam ludzi, odzwierciedla ich obecność.

Filozofia życia mieszkańca Wioski

Pomysł by przeobrazić Wioskę w żyjącą osadę wynika z refleksji nad panującym ustrojem politycznym i sposobem funkcjonowania społeczeństwa. Do tego dołożyły się jeszcze: światopogląd, marzenia i plany twórców projektu. Impulsem dla tej idei było współczesne społeczeństwo promujące określony wzór i sposób na życie, wywołujące presję na ludzi niedopasowanych do tego wzorca. Duża część populacji skupia się na względach ekonomicznych, dba o pracę i usytuowanie, dąży do życia na odpowiednim poziomie i temu też poświęca większość swojego czasu i energii. Status takich ludzi wyznaczany jest przez ich stan posiadania.

Adrianna Markowicz - teatrolożka i studentka grafiki, lubi kucharzyć i leniuchować.

Remigiusz Maciupa - socjolog, wynalazca i artysta-rzemieślnik, założyciel Wioski Fantasy.

Wioska Fantasy - drewniana osada wybudowana w Kuńkowcach pod Przemysłem w 2010 roku, miejsce larpów, warsztatów, imprez tematycznych i siedziba specyficznej społeczności, dąży do osiągnięcia niepodległości.

Konsumpcjonizm jest postawą, w której niektórzy bardzo dobrze się odnajdują, jednak warto zaznaczyć, iż nie jest to jedyna droga.

Wioska ma być miejscem, w którym ludzie zauważają wagę innych aspektów życia, takich jak wspólnotowość, współpraca i człowiek. Idea polega na zebraniu grupy ludzi, których skupi wspólny cel i sposób życia. Chcemy, aby ludzie byli świadomi, że nie są na nic skazani, że każdy ma absolutnie wolną wolę i może robić w życiu wszystko to, co chce, to, co lubi, albo to, co sobie tymczasowo wymyśli, ale także by w tym wszystkim był świadomym tego, co robi i nie ulegał presji otoczenia.

Wioska Fantasy to nie bunt polegający na odrzuceniu współczesnej technologii i przeniesieniu się do realiów średniowiecza, przeciwnie – w założeniu ma polegać na uświadomionym działaniu. Średniowieczny klimat osady narzuca konwencję, która wyklucza sporą liczbę wygód i uniemożliwia zaspokajanie pewnych potrzeb. Jest to jednak łatwy w osiągnięciu kształt. Zabudowania

stworzone są po to, by ubrać pewien sposób myślenia w formę, aby nie trzeba było koncentrować się na jej poszukiwaniu.

Pomysł na osadę to także dążenie do samowystarczalności. Polegać ma ona na uniezależnieniu się od wszelkich wpływów, zarówno pod względem energetycznym, jaki i w usuwaniu nieczystości, pozyskiwaniu wody czy produkcji żywności. Mimo dążenia do niezależności, osada nie będzie funkcjonować w odosobnieniu od świata, ale będzie z nim wchodzić w interakcję, będzie coś od niego brać i coś mu dawać.

Nikt nie twierdzi, że idea Wioski Fantasy to jedyny słuszny sposób spędzenia swojego życia. Jest to tylko jedna z opcji i pokazuje, że jeżeli ktoś wybierze drogę, która jest niekoniecznie akceptowana przez większość, nie jest najpopularniejsza lub najwygodniejsza, nie sprawia to, że jest gorsza. Ideą jest pomaganie w pozbyciu się wyrzutów sumienia i poczucia niesprostania społecznie narzuconej misji. Nie jest też powiedziane, że Wioska Fantasy to koniec czyjejś drogi i ostateczne rozwiązanie

kwestii „jak żyć?”. Pewnym jest, że stanowi ona niepospolite doświadczenie.

Żeby zmienić coś w świecie, trzeba tworzyć ku temu okoliczności. Ludzie realizujący się dzięki społeczeństwu mogą w pełni to swoje człowieczeństwo realizować i eksplorować tylko żyjąc wspólnie z innymi. Wioska to inspiracja, do której coraz to nowe osoby wnoszą świeże pomysły i rozwiązania. Tu człowiek jest nie tylko konsumentem, ale przez to, że coś tworzy staje się elementem większej całości. Celem jest alternatywna społeczność, żyjąca na terenie tematycznym.

Projekt, czy raczej idea o nazwie Wioska Fantasy, ma pomóc dostrzec drugiego człowieka. Ma uświadomić jednostce wolność wyboru, podkreślając jej indywidualność (obojętnie, czy podejmie się ona życia w mini społeczności właśnie w Wiosce Fantasy, czy pozostanie indywidualistą i samotnikiem na drugim końcu świata), a także ma pomóc jej odnaleźć się w odmiennych aspiracjach i poczuć wygodnie ze swoim życiowym wyborem. 



¹ „Larp” - skrót od angielskich słów „live action role-playing game”, (w wolnym tłumaczeniu: „interaktywna gra fabularna żywej akcji”).

² **Low fantasy** - podgatunek literatury fantasy, charakteryzujący się niewielką ilością elementów fantastycznych w świecie przedstawionym; świat jest zbliżony realizmem do świata rzeczywistego.

„CO BYŁO ZANIM MIAŁAM BZIKA I ŚWIRA?”

ŚWIAT OCZAMI DZIECKA Z AUTYZMEM

Wyglądają całkiem normalnie. Ośmieliłabym się nawet powiedzieć, że są bardzo urodziwymi dzieciakami. Zaraz po urodzeniu niemalże każde z nich dostało 10 punktów w skali Apgar. Tylko później już nie wszystko było na 10 punktów.

tekst: **Kamila Chojnacka**
ilustracja: **Zuzanna Wollny**

Zuzanna Wollny - studiuje sztukę mediów na ASP we Wrocławiu. Zajmuje się projektowaniem graficznym, rysunkiem, ilustracją.



„Słyszę” nie znaczy „rozumiem”.

Terminu „autyzm” używamy do opisanego zespołu problemów neurologicznych, które wpływają na myślenie, percepcję i zdolność koncentracji. Zaburzenie to może zablokować, opóźnić lub zniekształcić sygnały wzrokowe, słuchowe i płynące z innych organów zmysłów. To definicja, którą możemy odnaleźć w Przewodniku dla rodziców dzieci autystycznych Charlesa A. Harta.

Osoby autystyczne pozbawione są tzw. filtru w mózgu, który pozwala na sortowanie docierających do nich bodźców. Odbierają świat jako mieszaninę, papkę składającą się ze wszystkiego, co w mózgach innych osób jest przypisywane do oddzielnych kategorii. Ludzie kierują komunikat – osoby autystyczne poza komunikatem odbierają wszystkie „przeszkadzaczki”: tramwaj za oknem, rozmowy sąsiadów dwa pię-

tra wyżej, odkurzacz, wodę kapiącą z kranu w kuchni... I choć my, inni ludzie, również to wszystko słyszymy, to potrafimy to przefiltrować i skupić się jedynie na komunikacie. Oni nie.

Złap mnie, jeśli potrafisz!

Pamiętam, jak rozpoczynałam pracę z autystycznymi dziećmi. To było na drugim roku studiów. Przeczytałam kilka mądrych książek, kilka mniej mądrych i uważałam, że poradzę sobie bez problemu, że to będzie przyślowiowa bułka z masłem. Nie była.

Gdy zaczęłam pracę z Marcinem, przez większość czasu miałam szeroko otwarte usta i zastanawiałam się, jak przetrwać tę godzinę wolontariatu i nie zwariować! Marcin nie potrafił usiedzieć na miejscu nawet przez dziesięć minut, biegał po pokoju, wrzeszczał, machał rękami, a jego

głowa pełna była niedorzecznych pomysłów. Najbardziej spektakularnym było włożenie świnki morskiej do kuchenki mikrofalowej!

Dziś Marcin uczy się funkcjonować w społeczeństwie. Jest pogodnym chłopcem, który świetnie radzi sobie z pracą z komputerem. Chodzi do szkoły podstawowej i chętnie uczestniczy w różnego rodzaju zajęciach terapeutycznych. Żywo interesuje się mediami i polityką. I choć jego pytania z punktu widzenia gramatyki wciąż pozostawiają wiele do życzenia, cieszę się, że się pojawiły i że dotyczą świata, który go otacza..

Wszystkie zmiany doprowadzają mnie do szału!

Dominik ma 14 lat. Uwielbia podróże tramwajem. Gdy zaczęłam z nim terapię, zapytał mnie:

„Jakim tramwajem tu przyjechałaś?” „Czwórką”, odpowiedziałam. „Do której będziemy mieli zajęcia?” „Do 17:30”. „Twój tramwaj odjeżdża o 17:35”.

To prawda, mój tramwaj odjeżdżał dokładnie o 17:35. Dominik perfekcyjnie znał rozkład jazdy wszystkich tramwajów w okolicy. Wystarczyło podać numer tramwaju, a Dominik z dokładnością co do minuty potrafił podać godzinę odjazdu.

Każdy z nas ma swoje przyzwyczajenia, które niechętnie zmienia. Począwszy od kubków, które muszą stać w szafce uchem w stronę drzwiczek, szklanek, które muszą stać na stole na podstawkach, ubrań w szafkach poukładanych kolorami, a skończywszy na szczoteczce do zębów, która przecież zawsze musi znajdować się po prawej stronie umywalki. A teraz wyobraźmy sobie sytuację, że ktoś nam to wszystko poprzestawiał. I co? Zdenerwujemy się, zwrócimy komuś uwagę, być może przeklniemy i na tym się sprawa zakończy.

Niestety dla Dominika sprawa nigdy nie była taka prosta. Raz do roku zmienia się rozkład jazdy autobusów i tramwajów. Dla chłopca od zawsze był to trudny czas, czas hysterii, płaczu i pielgrzymek na przystanki w poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące pytanie, o której godzinie teraz będzie odjeżdżał tramwaj? Dominik ma genialną pamięć fotograficzną. Kilkanaście minut wystarczy, aby chłopiec zapamiętał cały rozkład jazdy tramwajów.



Płaczę, bo jesteś smutna.

Natalia ma 14 lat. Gdy dziś na nią patrzę, widzę roześmianą, wspólnie funkcjonującą w sferze wer-

balnej, nieco głośną dziewczynkę, ale w tym właśnie tkwi jej cały urok. Każdego dnia spędzam z Natalią sześć godzin w szkole. Jak każdy, ona także miewa lepsze i gorsze dni. Codziennie staramy się osiągnąć kompromis w naszej relacji. Piszę „staramy”, bo Natalia jest niebywale cierpliwa i wyrozumiała dla mnie.

Obecnie bardzo dużo mówi się o funkcjonowaniu w naszym mózgu neuronów lustrzanych. Są to grupy komórek nerwowych, które umożliwiają nam naśladowanie mimiki innych osób, odpowiedzialne są także za empatię. Naukowcy dużo piszą o tym, że autyzm polega na niemożności emocjonalnego odzwierciedlania. Zgadza się z tym, osoby z zaburzeniami autystycznymi mają z tym bardzo duży problem, ale nasz mózg jest wciąż niezbadany – bo jak wytłumaczyć przykład Natalii, która pewnego pięknego, słonecznego dnia zapytała mnie: „Dlaczego jesteś taka?”. „Jaka?”, spytałam. To prawda, byłam akurat zmęczona i niezbyt chętna do codziennych zabaw. Gdyby rozmowa zakończyła się na tym etapie, nie byłoby w niej nic dziwnego. Ktoś by powiedział: „Po prostu, Natalia zauważyła twój spadek formy, to wszystko”, ale... zupełnie nie wiedzieć czemu, Natalia zaczęła płakać. Spytałam, dlaczego. „Bo jesteś smutna”.

I niech teraz ktoś spróbuje mi powiedzieć, że „te” dzieci nie współodczuwają!

Osoby z autyzmem mają problem z postrzeganiem zachowań jako intencjonalnych. Nie rozumieją,



że podnosząc filiżankę do ust, chcemy napić się kawy, że skoro płaczemy, jest nam z jakiegoś powodu źle, że gdy biegniemy do przystanku, pewnie spóźnimy się na tram-

waj. Jednym słowem, osoby z autyzmem nie do końca traktują nas podmiotowo. Jednak między nauką a rzeczywistością ziele prawdziwa przepaść. W pracy terapeutycznej uczy się dzieci „czytania umysłu”: sztucznie wywołuje sytuacje, aby później na chłodno je analizować. Tylko po co uczyć przeżywania życia, jeśli można je, przy pomocy terapeuty, po prostu przeżyć?

Co było zanim miałam „bzika i świra”?

Natalka uwielbia mówić. Wciąż wymyśla nowe historie, których głównymi bohaterami są osoby z jej życia codziennego. Jest pewien schemat tych konfabulacji: historia powstaje, musi być przemyślana, a później kilkanaście razy wypowiedziana bardzo głośno (chodzi o stymulację słuchową). Uwielbia opowiadać o szkole, nauczycielach, koleżankach z klasy. Wciąż wymyśla nowe przygody z ich udziałem i śmieje się do łez. Pewnego dnia, kiedy już skończyła się zaśmiewać, zapytała mnie: „A co było zanim miałam bzika i świra?”

Choć praca terapeuty autyzmu nie jest łatwa, choć wielokrotnie trzeba w myśli policzyć do dziesięciu i głęboko odetchnąć, choć trzeba odpowiedzieć na tuzin bzdurnych, wydawałoby się, pytań, warto. Warto pokazywać autystycznym dzieciom „nasz” świat i uczyć je w nim żyć. Trzeba tylko pamiętać, że oni też są ludźmi i mają swoją unikatową osobowość. 🧡



Kamila Chojnacka - logopeda, terapeuta autyzmu.

MIĘDZY INNYMI

JESTEŚ ROWEREM?

tekst: **Justyna Stasiowska**
ilustracja: **Morgan Le Fly**

Szerokimi Alejami Wieszczów, gdzie każdego dnia widzi się sznur samochodów, mknie chmara wielobarwnych rowerów. Kultura rowerowa w Krakowie rozwija się dynamicznie i próbuje zmienić infrastrukturę miasta. „Masa krytyczna nie ma organizatorów. Każdy uczestnik jest jej organizatorem. My nie blokujemy ruchu. My jesteśmy ruchem”.

Tak Masę Krytyczną podsumowuje Janek Szpil, jeden z członków Inicjatywy Kraków Miastem Rowerów i organizator Święta Cyklicznego, czyli całodniowego święta rowerowego odbywającego się co roku w czerwcu. Powstała w San Francisco w latach 90-tych – spontanicznie kumulowała się grupa rowerzystów, która wspólnie jechała przez ulice. Nikt nie zgłosił wcześniej tego wydarzenia władzom miasta, co powodowało spięcia z kierowcami. W Krakowie Masę Krytyczną zapoczątkowali „anarchiści” i punkowi działacze. To środowisko stworzyło w Krakowie pierwsze Masy Krytyczne w 2005 roku”, wyjaśnia mi Janek Szpil opowiadając o swoich początkach z rowerem i Masie Krytycznej. „Najpierw jeździłem, a potem byłem bardziej ciągnącym, a ci, co dali pierwszy impuls wycofali się z Masy. Przejęła to grupka rowerzystów – nowe pokolenie działaczy.

Środowisko zaczęło się koncentrować dzięki tym comiesięcznym przejazdom. Niewiele dawały jako wydarzenia i nie wpływały na miasto. Mało kto, oprócz kilku sfrustrowanych kierowców, tym się przejmował. Ci aktywni spotykali się zawsze co miesiąc i tak zaczęło tworzyć się środowisko, które później przyjęło nazwę Inicjatywa Kraków Miastem Rowerów”.

Masy Krytyczne nie były oficjalnie zgłaszane ani kontrolowane. Manifestowały obecność rowerów i były sposobem odzyskiwania przestrzeni miejskiej. Janek wyjaśnił mi podczas rozmowy po spotkaniu ekipy Święta Cyklicznego, że powstało ono z potrzeby pozytywnej, bezkonfliktowej promocji roweru. Wcześniej w latach 90-tych organizowano wielkie przejazdy. Podczas jednego udało się zebrać nawet tysiąc osób. Jednak był to jedynie wielki przejazd, natomiast Święto Cykliczne to wielki piknik. Pierw-

sze Święto Cykliczne było zorganizowane w 2009 roku za czterysta złotych i zgromadziło około pięćset osób. W tym roku organizatorzy liczą na kilka tysięcy uczestników, którzy, oprócz wielkiego przejazdu, wezmą udział w całym festiwalu.

Działacze zmieniają się, choć Janek Szpil i Paweł Chlebicki są członkami inicjatywy od samego początku. Centrum zespołu stanowi około siedmiu koordynatorów, a łącznie grupa liczy dwadzieścia pięć osób. Oprócz tego przy festiwalu działa wiele organizacji współpracujących, wolontariusze. Zgłaszają się do nich wielkie koncerny jak Coca-Cola, lecz Święto Cykliczne chce współpracować jedynie z lokalnymi przedsiębiorcami. Janek podkreśla: „To jest festiwal społeczny. On wyrasta z miasta. Wyrasta z potrzeby. Dla nas największą motywacją jest to, jak dużo ludzi do nas dołącza.

Nie wiem, czy to są wszyscy fani rowerów. Może część z nich nawet nie jest rowerzystami, ale może widzi, że to, co robimy ma przełożenie. Od samego początku tworzymy tę imprezę z potrzeby. Scała się z miastem i wynika z jego działań. Nie jest pomyślana odgórnie, ale złączona ze strukturą społeczną miasta, czego dowodzi duże zainteresowanie różnych instytucji, organizacji i inicjatyw chcących z nami współpracować”. W tym roku organizatorzy postawili na zbiórkę środków poprzez crowdfunding, czyli finansowanie społecznościowe, realizowane przez stronę internetową. Święto Cykliczne jest pierwszym w Polsce wydarzeniem rowerowym, które wybrało ten sposób finansowania.

Siedzę na spotkaniu ekipy organizacyjnej Święta Cyklicznego, wszystko na zewnątrz przykryte jest grubą warstwą śniegu, a cała impreza wydaje mi się egzotycznym marzeniem. Wszyscy pracują nad kampanią crowdfundingową i zastanawiają się, jak odeprzeć argumenty ewentualnych przeciwników. Okazuje się, że jazda na rowerze wprowadza zupełnie inną perspektywę na życie. Powoli władze miasta przekonują się do niej, lecz na razie są to działania jedynie symboliczne. Nie przeznaczono pieniędzy na rowery, ani rozbudowę infrastruktury. „Chcemy miasta racjonalnego. Chcemy miasta, które czerpie rozwiązania z najlepszej praktyki na świecie, które wymyśla racjonalne rozwiązania. Chcemy rozwiązań, które w naszych warunkach są najkorzystniejsze.

Nie chcemy wprowadzić dyktatu rowerów. Traktujemy rower jako środek praktyczny, który daje jednostce i społeczeństwu wiele korzyści. Chcemy, aby miasto wykorzystało ten potencjał i żeby tym 10–15% wygodnie się przemieszczało. Przed powstaniem Inicjatywy Kraków Miastem Rowerów istniały działania prorowerowe, takie jak Federacja Zielonych, Polski Klub Ekologiczny – to jest tradycja 20 lat działań na rzecz zrównoważonego transportu” – opowiada Janek. Zrównoważony transport i stworzenie wielu opcji dla mieszkańców jest podstawowym celem Stowarzyszenia Kraków Miastem Rowerów. Niedługo w Małopolskim Ogrodzie Sztuki powstanie punkt informacyjno-naprawczy, w którym każdy zainteresowany dowie się, jak poruszać się po mieście rowerem. Źle zaplanowana infrastruktura wpływa na każdy środek transportu, Paweł prezentuje szeroką skalę problemu: „Mamy problem urbanistyczny i instytucjonalny. Ludzie muszą jeździć samochodami dlatego, że miasto jest źle zaplanowane i nie ma alternatyw. Trzeba jeździć samochodem, aby zdążyć do celu na czas. Centrum Krakowa jest dofinansowane, ale inne dzielnice nie”. Działania Stowarzyszenia i organizowane na szeroką skalę imprezy tworzą spójną wizję zrównoważonego miasta.

Organizatorzy Święta Cyklicznego powołują się na znany przykład Bordeaux we Francji. Miasto, podczas przebudowy linii komunikacyjnych, które początkowo były głównie samochodowe, zaproponowała mieszkańcom

rowery. Budując sieć tramwajową i uwzględniając inne środki transportu, Bordeaux z zerowego udziału ruchu rowerowego przeszło na jedenasto-procentowy. Miasto stało się niezwykle atrakcyjnym i ciekawym miejscem, do którego ludzie przyjeżdżają na weekend, zamiast z niego uciekać. Ten przykład potwierdza możliwość zmian, jakich chce dokonać inicjatywa Kraków Miastem Rowerów we współpracy z mieszkańcami. Janek w tym kontekście podkreśla:

„W tym momencie władze miejskie boją się ruchów społecznych. Nie wiedzą jeszcze, że to niesamowity skarb – aktywni obywatele. To źródło dla miasta. Kto lepiej może wiedzieć jak zagospodarować ulicę niż jej mieszkańiec? Przecież nie urzędnik siedzący za biurkiem”.

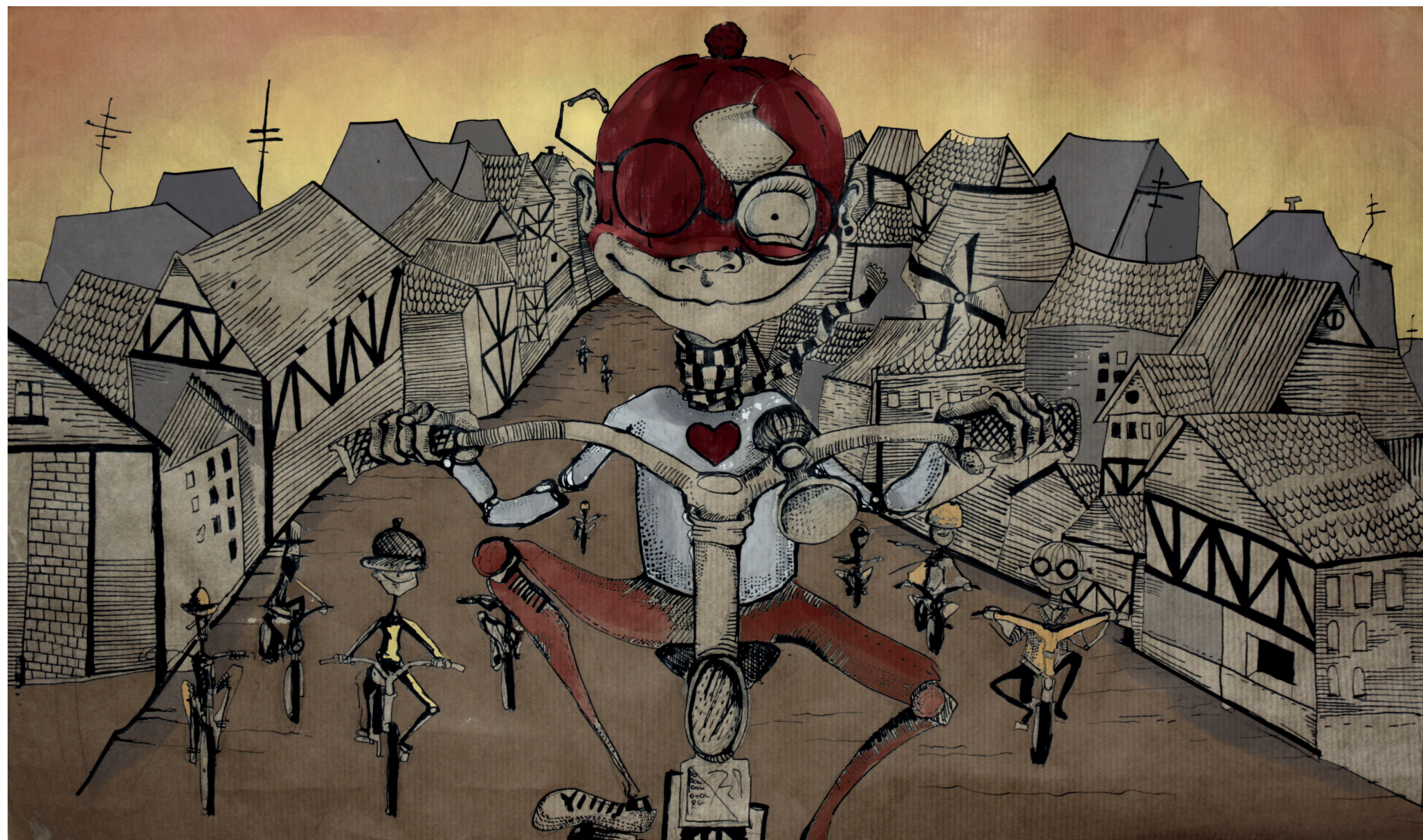
Centralnym elementem napędzającym wszystkie działania związane z rowerem zawierają się w słowach Janka Szpila, który na pytanie, dlaczego jeździ na

rowerze i jak zaczął działać pro-rowerowo odpowiada: „W liceum zacząłem z rowerem wychodzić w przestrzeń miejską. Stał się dla mnie środkiem poznawania miasta, dzięki któremu zyskiwałem fantastyczną niezależność. Lubilem jeździć rowerem. Stwierdziłem, że to jest genialny środek do przemieszczania się po mieście. Mogłem sprawniej i szybciej się poruszać”. Po pewnym czasie jeżdżenie wchodzi w krew. Człowiek staje się hybrydą – zawsze w połączeniu z rowerem. „Jadąc rowerem cały czas

trzeba być kreatywnym – zwłaszcza w Krakowie. Jeżdżąc cały czas coś zmieniasz – szukasz skrótów, uczysz się topografii, wybierasz niestandardowe opcje. Rower rozwija kreatywność”.

Justyna Stasiowska - campowo wrażliwa, noisowo ekspresywna.

Morgan Le Fly - ilustratorka, malarka, leśna wiedźma, studiowała w Cieszynie na wydziale Grafiki.



HOW LONG IS NOW, CZYLI ŻYCIE NA SQUACIE

tekst: **Aleksandra Piotrowska**

ilustracja: **Anna Frąckowiak**

Potrzeba wolności i doświadczania wspólnoty odczuwana jest dziś szczególnie mocno, ponieważ życie w naszym wymykającym się spod kontroli społeczeństwie, które – jak zauważa Zbigniew Bauman – powołało do istnienia nową kosmopolityczną elitę, to życie ryzykowne i pozbawione bezpieczeństwa.

Opuszczone, naznaczone szczególnym klimatem miejsca, w których możliwe jest spełnienie potrzeby owych składników, od lat 60. XX wieku zaczęły powstawać w większych miastach Europy i Stanów Zjednoczonych. Stworzenie squatów z porzuconych niegdyś budynków związane było z rozrastającym się ruchem kontrkultury, czyli jawnego buntu wobec materialistycznej kultury Zachodu. Dziś w dalszym ciągu squaty są alternatywą dla technokracji, wymuszonej racjonalności czy odpowiedniego trzymania się w ryzach kulturowego gorsetu. Zajmowanie ich stanowi ważny punkt dla współczesnej ideologii anarchistycznej. Squaty nie tylko pełnią funkcje mieszkalne, ale są także istotnym elementem dla funkcjonującej w danym mieście szeroko pojętej kultury i sztuki. Skupiają artystów (również z obcych krajów), którzy wystawiają, a potem także sprzedają swoje prace; organizowane są w nich koncerty oraz imprezy o najróżniejszych formach. Klimat wszystkich odbywających się tam wydarzeń jest nietypowy – uderza w nich chęć uczestniczenia w kolektywie, posiadanie wspólnych idei, a także charakter samych przestrzeni, które wymykają się wszelkim stereotypom.

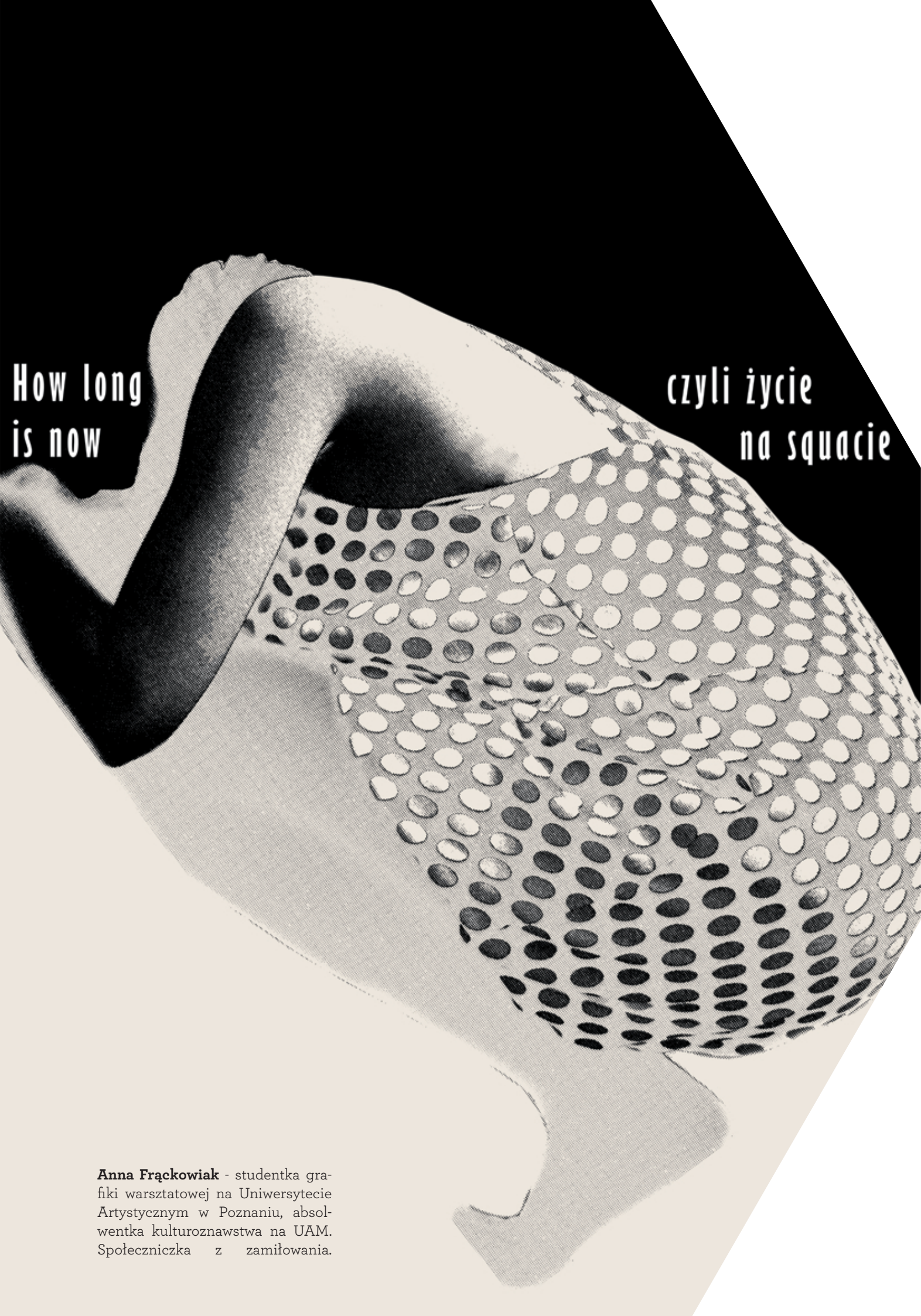
Poddanie się klimatowi squatu jest czymś, co na długo pozostaje w pamięci. Jednym z pierwszych squatów, do którego trafiłam był powstały w latach 90. XX wieku – i niestety nieistniejący już – berliński Kulturhaus Tacheles. To jeden z wielu budynków w dawnym Berlinie Wschodnim, który znajdował się pomiędzy ruderą a niedokończoną budową. Niegdyś pełnił funkcję domu towarowego, następnie przemieniony został w więzienie, aż w końcu stał się alternatywnym centrum kultury.

czyli życie
na squacie

Już idąc głośnymi ulicami dzielnicy Mitte (tam właśnie mieścił się Tacheles), na których nocami stały wyglądające jak żywe lalki prostytutki, można było poczuć specyficzną, squaterską atmosferę. Na bocznej ścianie monumentalnego budynku widniał napis: How long is now, pod którym namalowany został zarys ludzkiej twarzy. Na wielkim podwórzu stały porozbijane betonowe rzeźby surrealistycznych pocisków, dziwne zbiorniki i wraki samochodów. Było to miejsce jednoczące artystów z całego świata, posiadające aurę legendarnego, awangardowego miejsca niczym szwajcarski Cabaret Voltaire.

W ciągu dnia można było zwiedzić squat, obejrzeć wystawy czy obserwować artystów przy pracy, w nocy natomiast – stać się uczestnikiem ekstatycznej zabawy przy elektronicznych dźwiękach. Za konsolą stali starsi mężczyźni, którzy znacznie odbiegali od wizerunku stereotypowego didżeja.

How long
is now



How long
is now

czyli życie
na squacie

Anna Frąckowiak - studentka grafiki warsztatowej na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu, absolwentka kulturoznawstwa na UAM. Społeczniczka z zamiłowania.

Przestrzeń Tacheles obejmowała kilka poziomów, między którymi szybko przemieszczali się chłopcy zagadujący: „Marihuana? Cocaine?”. Impreza odbywała się w małym i ciemnym pomieszczeniu na pierwszym piętrze. Aby tam dotrzeć, trzeba było przejść przez wąski korytarz, który prowadził również do ubikacji. I tak jak z przyjemnością wspominam czas spędzony na squacie, pamięć o nich wywołuje we mnie wstręt – były one jakby wycięte z kadru filmu *Trainspotting*.

Jednak najistotniejsze w Kulturhaus Tacheles było to, że skupiał on szerokie środowisko artystyczne, silnie wierzące w to, że sztuka może proponować alternatywne wizje świata. Sztuka ubrana w komercyjną formę, której przedstawicielem jest chociażby Damien Hirst, najdroższy żyjący artysta na świecie, nie znajdowała wspólnych punktów z tą prezentowaną przez artystów berlińskiego squatu. W czasie, kiedy pokolenie Hirsta nastawione było na traktowanie sztuki jako środka do generowania pieniędzy, Tacheles tworzył rozległą wizję dadaistycznych sprzeczności przesiąkniętą wyzwoleniecym duchem anarchizmu.

Budynek został zamknięty przez władze miasta, ponieważ po wielu latach funkcjonowania okazał się zbyt kosztowną inwestycją, na opłacenie której nie stać było zamieszkujących tam artystów. Został wystawiony na aukcję rozpoczynającą się niebotyczną kwotą.

Tacheles, choć stanowił ważny kulturalny punkt na mapie Berlina, prawdopodobnie nigdy nie będzie miał większego znaczenia dla historii sztuki. Nie zrzeszał on znanych czy „poważnych” artystów, którzy tworzyli przełomowe i wielkie dzieła. Ale nawet nie starał się tego robić. Był za to miejscem, w którym objawiała się potężna siła artystycznej wyobraźni.

Kilka miesięcy później pojechałam do Lublany. Jednym z najciekawszych miejsc w stolicy Słowenii okazała się autonomiczna ulica w samym centrum miasta – Metelkova. To kulturalne centrum stworzone zostało na terenie koszar opuszczonych przez jugosłowiańską armię. Jednak proces przekształcania porzuconych budynków w mekkę kultury nie był wcale prosty – starano się o to przez kilka lat. W roku 1993, po nieudanych próbach negocjacji pomiędzy ludźmi zajmującymi się szerzeniem kultury alternatywnej a władzami miasta, około 200 osób nielegalnie zajęło część Metelkovej. Krótco po tym miasto odcięło budynkom dostęp do prądu oraz wody. Jednak to nie przeszkadzało miejscu w pełnieniu jego funkcji – odbyło się w tamtym czasie mnóstwo kulturalnych imprez, takich jak koncerty, wieczory literackie, spektakle teatralne itd. Dwa lata później, w roku 1995, Metelkova doczekała się swoich praw. Po zmianie prezydenta Lublany podpisano protokół, który zapewnił artystom posiadanie własnych pomieszczeń, w których mogli pracować, a samo miasto przeznaczyło pieniądze na odnowienie przestrzeni.

Dziś Metelkova jest niezależnym obszarem, które jednoczy wielkie grupy ludzi, niezmiennie mając w programie działania związane z muzyką, teatrem, malarstwem, wideo oraz innymi sztukami.

Na terenie kulturalnego centrum znajduje się także hostel Celica, dawniej będący więzieniem. W książce *Fado* podróżujący po Słowenii Andrzej Stasiuk, który zatrzymał się w hostelu, pisze z dużym niesmakiem, że „wszystko jest na sprzedaż”. I przyznaję mu rację – ja również byłam w stanie zapłacić ponad dwadzieścia euro za noc w zatłoczonym pokoju o więziennej przeszłości.

Noce na Metelkowej wspominam jako niesamowite doświadczenie wcześniej już wspomnianej wspólnoty i wolności, które miały formę głośnej i wciągającej zabawy. Wszystko funkcjonowało bez niepotrzebnych granic, konwenansów, w bezstresowym (i legalnym) paleniu marihuany oraz picie alkoholu. Sama przestrzeń składała się z tak wielu dziwacznych elementów, graffiti, rzeźb, napisów, że nie sposób objąć tego pamięcią. Panujący tam klimat sprawił, że obiecałam sobie szybki powrót w to miejsce.

Squaty, które reprezentują anarchistyczny, wyzwolony model kolektywu istnieją niemal we wszystkich większych miastach (na przykład w Amsterdamie jest ich około kilkaset). Każdy z nich posiada swój własny, indywidualny charakter, jednak wszystkie łączy wspólny cel – wyzwolenie się spod ciężaru obowiązujących i niewygodnych zasad. Tworzone w tych miejscach więzi wydają się być stałym i pewnym źródłem rozwijającej się alternatywnej kultury oraz chęci pielęgnowania wizji innego, lepszego świata. Spełniają potrzebę uzdrowienia zależności społecznych zdeterminowanych przez panujące normy kulturowe. I chociaż żaden squat nie ma łatwej historii – czego najlepszymi przykładami są chociażby Kulturhaus Tacheles i słoweńska Metelkova – warto są choćby jednorazowego uczestnictwa w ich energicznym życiu, które stanowi dobrą alternatywę dla gęstego splotu społecznych zobowiązań. 🍷

Aleksandra Piotrowska – absolwentka teatrologii UJ, studentka kulturoznawstwa. Interesuje się kulturą współczesną.

PLECAK... HOSTEL... CÓŻ WIĘCEJ?



BACKPACKERS HOSTEL // ul. Floriańska 13 // 31-019 Kraków
e-mail: info@backpackershostel.pl // www.backpackershostel.pl

Przyjaciel na każdą okazję

tekst: **Sonia Kaczmarczyk**
ilustracje: **Małgorzata Maciejewska**

Ostatnie lata pokazują, że z seksem jest jak z modą – są rzeczy, które przenikają do erotycznego „mainstreamu” jak seks oralny w latach 60-tych, stosunki analne, fetysze, które pojawiły się dopiero z rozwojem technologii (dobrym przykładem jest lateks), czy zjawiska takie jak związki otwarte, *swinging*, a nawet „przygody na jedną noc”.

W tym przypadku, w przeciwieństwie do mody, to, co przeniknie do głównego nurtu zapewne już w nim pozostanie i nawet jeżeli nie będzie stanowić „kanonu”, zapewne zdobędzie pokątną grupę oddanych „fanów”. Podobnie ma się sprawa fenomenu ostatniej dekady, a mianowicie związków typu *friends with benefits*. O ile jednak niezobowiązujący seks z kolegą/koleżanką w Polsce znany jest prawdopodobnie jedynie z hollywoodzkich superprodukcji (*Friends With Benefits*, *No Strings Attached*, oba z roku 2011), o tyle w Stanach Zjednoczonych ten termin zna praktycznie każdy student, a według statystyk ponad połowa społeczności akademickiej ma za sobą takie doświadczenia. Co ciekawsze, w psychologii i socjologii naukowcy prześcigają się w prowadzeniu badań na ich temat.

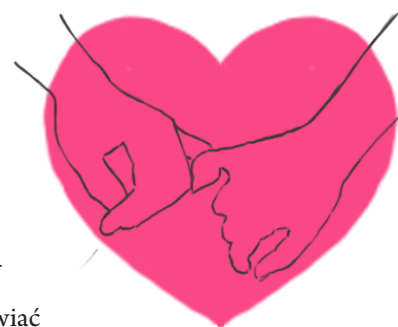
Kiedy wiadomo, że sami lub nasi znajomi jesteśmy uwikłani w układ, który można określić jako „przyjaźń z bonusem”? Według definicji muszą zaistnieć trzy czynniki: dwie osoby powinny się przyjaźnić (choćby słowo przyjaźń w języku polskim ma inną konotację niż „friend” w języku angielskim), częściej lub rzadziej uprawiać ze sobą seks, chociaż niekoniecznie musi to być pełen stosunek, a ponadto nie deklarować się jako para. Z tego wynika, że układ typu *friends with benefits* łączy seksualne aspekty klasycznego, romantycznego związku z zaufaniem i towarzystwem stanowiącymi podstawę przyjaźni, a jednocześnie pozostawia partnerom bardzo dużo swobody. Brak zaangażowania jest w takim układzie najważniejszy:



jest friends



jest sex



partnerzy zawierają ze sobą rodzaj niepisanej umowy, coś za coś, a relacja ma charakter przejściowy. Cierpieć będą osoby liczące na to, że taki seks z kolegą po pewnym czasie przerodzi się w coś więcej. Rozwinięcie się platonicznego uczucia jest największym zagrożeniem pojawiającym się w związkach *friends with benefits*, ponieważ te z zasady zakładają absolutny brak zaangażowania (o ile w ogóle istnieje coś takiego) i świadomość, że jak tylko na orbicie pojawi się ciekawszy obiekt, wspólny seks się skończy.

Zjawisko przyjaźni z bonusem jest widoczne przede wszystkim w środowisku studenckim, co nie powinno dziwić, ponieważ studia, w potocznym mniemaniu, to okres eksperymentów, również nad własną seksualnością. Życie studenckie nieodmiennie wiąże się też z piciem alkoholu, a warto pamiętać, że jeśli między znajomymi istnieje delikatna nić przyciągania, należy uważać na ilość wspólnie wypitych drinków, bo nic tak nie skłania do spontanicznych decyzji jak bycie na lekkim rauszu. Jednak *friends with benefits* to coś więcej niż tylko studencki krok w stronę poszukiwania ekspresji własnej seksualności i układu partnerskiego, który zadowoliliby obie strony. To przede wszystkim znak naszych czasów i po części kolejny etap damskiej walki o swobodę obyczajową. Społeczny podwójny standard wpływa na zachowanie obu płci w sposób nie uświadamiany – jest tak mocno zakorzeniony w naszej kulturze, że nawet nie zauważamy, gdy zachowujemy się dokładnie z jego założeniami. Tym standardem jest przekonanie, według którego mężczyzna może sypiać z nieograniczoną liczbą partnerek i nie narazić się na jakąkolwiek stygmatyzację, a kobieta powinna uprawiać seks jedynie w bliskim związku, w przeciwnym wypadku należy jej się etykieta „lekkoprowadzącej się”.

Przyjaźń z bonusem daje kobietom legitymizację dla zaspokojenia swoich potrzeb i chroni przed społeczną krytyką, bo przecież kolega to nie obca osoba, a ponadto kultura zachodnia wierzy we wszelkie „happy endy” (w tym wypadku stworzenie stałego związku). Natomiast mężczyzna korzysta podwójnie. Po pierwsze może rozładować napięcie seksualne z osobą, którą lubi, a po wszystkim nie będzie skazany na niezręczne wypraszenie z mieszkania i krępujące mijanie się na przypadkowych wspólnych imprezach, jak to się czasem zdarza po jednonocnej przygodzie.

Ponadto nic nie stoi im na przeszkodzie w poszukiwaniu innych partnerek, ponieważ koleżanka z bonusem nie jest zazdrosna, terytorialna i ma świadomość ograniczonej daty ważności takiej relacji – a przynajmniej w teorii powinna mieć takie podejście. *Friends with benefits* pozwala kwitnąć męskiej donżuanerii, ale też daje szansę kobietom na wejście w buty „silniejszej” płci i czerpanie wszystkich korzyści wynikających z tej roli.

Trzeba przyznać, że nie wszystkie panie (i panowie również) będą się dobrze czuły w takim układzie. Nie jest zaskakujące, że dobre samopoczucie w przyjaźni z bonusem zależy od liberalnego podejścia do miłości i zamiłowania do hedonistycznego trybu życia. Bardziej tradycyjne poglądy mogą doprowadzić do rozwinięcia uczuć, zazdrości, czy sprzeczek. Stąd więcej negatywnych przeżyć związanych z tego typu doświadczeniami deklarują kobiety, jako że są płcią, która częściej wnosi do związku z przyjacielem pewien rodzaj myślenia życzeniowego, a jeszcze częściej nie może powstrzymać się od emocjonalnego zaangażowania. W takich wypadkach istnieje ryzyko nadszarpnięcia, o ile nie zerwania przyjaźni. Z drugiej strony badania pokazują, że w gruncie rzeczy nie sam seks jest ważny; większość badanych deklarowała, że bardziej liczy się dla nich przyjacielski aspekt takiej relacji. Ponadto nawet gdy partnerzy przedstawiali ze sobą sypiać, potrafili z powodzeniem wrócić do relacji *just friends*, traktując swój uprzedni związek jako przyjemne, przelotne doświadczenie.

Związek *friends with benefits* może brzmieć dla niektórych zachęcająco, ale trzeba traktować go jak każdy inny kontakt seksualny. Każdemu kto o tym pamięta, pozostaje, przy zachowaniu odpowiedniego dystansu, korzystanie z dobrodziejstw takiej przyjaźni.💡

Małgorzata Maciejewska - absolwentka wiedzy o teatrze UJ, obecnie studentka performatyki UJ i dramaturgii PWST. Pisze dramaty i opowiadania, jest miłośniczką czeskiego kina. Poza zajęciami literackimi zajmuje się ilustracją, fotografią i projektowaniem.

Sonia Kaczmarczyk - studentka ostatnich lat psychologii, zainteresowana w szczególności seksuologią, zapalona miłośniczka podróży i srebrnego ekranu.



Profesjonalne podejście do golenia

Tylko i wyłącznie
ORYGINALNE
produkty







KRÓTKA HISTORIA GIĆA BULDOŻEROWCA

OPARTE (TROCHĘ) NA TRUJĄCYM SYMIOLE

CZYLI SZALENIEC CZY BOHATER POSTKOMUNISTYCZNEJ RUMUNII

TEKST I RYSUNKI: PAMEŁ SKON

WYDAWAĆ BY SIĘ MOGŁO ŻE SAMOTNY BOHATER...

TYMČASEM, GDY DYKTATOR PADŁ OFIARĄ PAŁACOWEGO SPISKU...

NA ULICACH PANUJE CHAOS...

BIORĄCY W SWOJE RĘCE SPRAWIEDLIWOŚĆ TO FIKCJA!

ELENA CEAUȘESCU

NIKOLAE CEAUȘESCU

BUKAREST, 1990

A ELITY POLITYCZNE NIE WYKAZAŁY WOLI DZIAŁANIA...

WIARA W TO, ŻE RZECZYWIŚTOŚĆ MOŻE BYĆ LEPSZA CZASEM ZALEŻY OD SZALEŃSTWA JEDNOSTKI...

GIĆA

SZALENIEC!

NA BOGA, GIĆA!

TO BYŁY CZASY...

NIKT INNY TEGO NIE ZROBI!

PRECZ Z KOMUNĄ!

GIĆA ZASKAŁAŁ TYM, ŻE DO 1997 R. JEŹDZIŁ PO RUMUNII I SWOIM BULDOŻEREM...

GIĆA NIE OGRANICZYŁ SIĘ JEDNAK JEDYŃIE DO DZIAŁALNOŚCI ROZBIÓRKOWEJ.

SLYSZAŁAŚ? GIĆA MÓWI, ŻE STAN JEST AGENTEM SECURITATE!

GIĆA ZAPŁACIŁ OGROMNĄ CENĘ... ŻYCIEM!

DONIESIENIE O SAMOBÓJSTWIE PANA GIĆY NIE KOMENTUJĘ

27.VIII.1997

VICTOR CÔRBEA, PREMIER

JEDNOČEŚN INFORMUJĘ ZDYMISIONOWANIE PANA STANA!

ZUCH CHEŁPAK, ALE CHYBA MA OBSESEJĘ...

BY PRZEKONAĆ NAJWYŻSZĄ WŁADZĘ DO SWOJEJ RACJI...

INIŚCZYK KOMUNISTYCZNE POMNIKI!

GIĆA... BOHATER ROZCZAROWANYCH CZY CZŁOWIEK POZBAWIONY ROZUMU?

* VALERIAN STAN, SZEF DEPARTAMENTU KONTROLI, I-VIII 97

JEŚLI NIE MOGĘ TAŃCZYĆ, TO NIE JEST MOJA REWOLUCJA

tekst: **Magdalena Kunz**
ilustracja: **Ada Augustyniak**



Na początku było słowo „feminizm”

Urodziłam się queer. Na feministkę wychowała mnie moja mama. Adoptował mnie anarchizm. Pierwszy kolektyw założyłam w przedszkolu: razem z trzema innymi pięciolatkami policzkowałyśmy chłopców, którzy próbowali wkładać nam ręce pod spódniczki. Przeszłam długą drogę: od urny wyborczej do ulicznego bojkotu wyborów, od popierania ustawy o parytetach do współtworzenia lokalnego budżetu partycypacyjnego, od walki o dostęp do tego, co „normalne” do budowania tego, co autentyczne. Nikt nie rodzi się anarchofeministką, ale się nią staje. Jeśli tylko pomyśli krytycznie.

Olga, absolwentka edytorstwa i studentka filologii rosyjskiej, kiedyś działaczka białoruska, członkini krakowskiej Federacji Anarchistycznej [<http://fakrakow.wordpress.com/>]: „Miałam 14 lat, wracaliśmy z kolegą z punkowego koncertu. Rozmawialiśmy całą drogę i w którymś momencie nazwał mnie feministką. Obraziłam się. W domu otworzyłam słownik i przeczytałam definicję, a potem już poszło. Zaczęłam czytać o ruchach feministycznych i powoli klarował się mój światopogląd, za którym poszły działania.” Kulka, studentka filologii rosyjskiej, współzałożycielka krakowskiego kolektywu anarchofeministycznoqueerowego Kikimora [<http://kikimorakrakow.wordpress.com/>], squaterka: „Zacząło się tradycyjnie, od fascynacji muzyką i subkulturą punkową. „True punkowiec” miał być bardzo mądry i czytelny, świadomy i uwrażliwiony politycznie. Miał dbać o środowisko, przekraczać granice płci, działać na rzecz zmian. Nigdzie takiego nie znalazłam, więc przez jakiś czas zajmowałam się głównie piciem po bramach taniego wina przed koncertem. W Krzeszowicach spotkałam ludzi, z którymi zaczęliśmy robić pikety antycyrkowe, z czasem przekształcone przez nas w festiwal „Cyrk bez zwierząt”. Zorientowałam się, że są osoby, z którymi można tworzyć wolnościową przestrzeń w życiu prywatnym i wychodzić razem na ulicę we wspólnej sprawie.” Alexis, wrocławska śpiewaczka i antykorporacyjna wallenrodystka, członkini Feministycznej Akcji Krytycznej FAK! [<http://www.f-a-k.pl/>] i kolektywu Q Alternatywie [<http://qalternatywie.pl/>], zaczynała w latach 80-tych: „Jako nastolatka związałam się z Wolę Być, jednym z pierwszych ruchów ekologicznych w Polsce. Byłam wtedy zupełną gówniarą, dzięki obozom organizowanym raz, dwa razy do roku przez dziennikarzy „Na przełaj” poznałam mnóstwo ludzi, mnóstwo punktów widzenia, mnóstwo stylów życia. To była moja wylęgarnia aktywistyczna.

Pamiętam akcję obrony Czorsztyna. Wtedy pierwszy raz pobiła mnie milicja. Działalam też w Ruchu Wyzwolenia Zwierząt, Obdźektorze i Federacji Zielonych. W międzyczasie zmienił się system i wiele osób, które razem ze mną tworzyły kontrkulturę, zaczęło romans z tym systemem. Ja też byłam zagubiona. Siłą rozpędu poszłam na studia, zajęłam się feminizmem akademickim, potem genderem i queerem. Myślałam, że będę pracować na uczelni, ale zrobienie doktoratu niczego nie gwarantuje, zwłaszcza, jeśli robi się tak niepopularne rzeczy. Właściwie nie żałuję. Widzę, jak część moich akademickich znajomych przedkłada teorię nad praktykę, jak rozliczają ruch społeczny według teoretycznych kryteriów i jak stają się lewicą kanapową.” Julie, absolwentka Intermediów na krakowskim ASP, doktorantka socjologii na PAN, współorganizatorka krakowskiego Queerowego Maja [<http://queerowymaj.wordpress.com/>], przyjechała do Krakowa z Norfolk w stanie Virginia. Działający kilka lat temu queerowy kolektyw Miłość Bez Granic, który założyła, przez kilka miesięcy malował na ulicach miasta tęcze, symbol społeczności i ruchu LGBTQ. Razem z Justyną Struzik nakręciła w 2008 roku pierwszy polski film dokumentalny o osobie transseksualnej pt. „Trans-misja” [<http://milosczbezgranic.wordpress.com/trans-misja-film/>]. „Jednym z przełomowych doświadczeń był dla mnie festiwal queerowo-anarchistyczny Queeruption w Tel Awiwie w 2006 roku. Tam osoby queer (Izraelczycy i Palestyńczycy) były niezwykle zaangażowane w działania na rzecz wolnej Palestyny. Nikt nie pytał, czy to jest potrzebne i ważne, czy queer ma cokolwiek wspólnego z walką przeciw okupacji. To było oczywiste. Teraz najważniejszą rzeczą, jaką robię, są warsztaty filmowe dla młodych Palestyńczyków w Jerozolimie Wschodniej i na Zachodnim Brzegu Jordanu. Prowadzę je od kilku lat i chyba nic innego nie daje mi takiej satysfakcji, szczególnie, kiedy widzę jaki ogromny wpływ mają te zajęcia na moich studentów.”

Władza na bruk, bruk na władzę

Większość anarchofeministek przeszła drogę od feminizmu liberalnego do pełnego anarchizmu, który troszczy się o interesy wszystkich mniejszości i uwzględnia wykluczenie ekonomiczne. Feministki liberalne mówią w imieniu uprzywilejowanej części kobiet z klasy średniej i wyższej, interesuje je kobieca przedsiębiorczość, wolność osobista i parytet. Władza na pewnym poziomie korumpuje

niezależnie od poglądów. System oparty na zasadzie konkurencyjności i rentowności, w którym polityka pożeniona jest z biznesem, jest fundamentalnie niesprawiedliwy i pozwala korzystać z równości tylko tym, których na nią stać. Dopóki wierzymy, że w ramach wolnego rynku można zbudować społeczeństwo wolne od wykluczeń i dyskryminacji, że system partyjny gwarantuje nam polityczne bezpieczeństwo, a demokracja reprezentacyjna zabezpiecza zróżnicowane interesy wszystkich grup i jednostek, robimy za owieczkę z Ezopowej bajki. Zofka, doktorka ekonomii, koordynatorka projektu łączącego gender z nową instytucjonalną ekonomią na Uniwersytecie Humboldta, współzałożycielka krakowskich Rytmów Oporu SambaKa [<http://sambaka.wordpress.com/>], wieloletnia współorganizatorka krakowskich Manif [<http://manifakrakow.blox.pl/html>]: „Zainteresowałam się ekonomią feministyczną jako alternatywą dla systemu kapitalistycznego,

Medialny mainstream
reklamuje ciastka.
Dla tych, co nie mają
na chleb, zostaje ulica
przed piekarnią.
Ulica jest nasza.

który opiera się na wyzysku i alienacji. Jestem zwolenniczką demokracji bezpośredniej, wedle ateńskiego modelu, w którym wszyscy obywatele podejmowali decyzje. Inna sprawa, kogo wtedy za obywatela uważano. Deliberacyjna sprawiedliwość jako model rządzenia sprawdza się dzisiaj między innymi w meksykańskim stanie Chiapas (Zapatyści) czy w ośrodkach takich jak Uniwersytet w Wuppertalu i Jefferson Center w Minneapolis. Ostatnie starania grup mieszkańców w różnych polskich miastach o stworzenie budżetów partycypacyjnych to jest właśnie pierwszy krok w kierunku demokracji bezpośredniej.” Od flirtu ze strukturami władzy partyjnej lepsze są działania w ramach inicjatyw oddolnych, niehierarchicznych, w których odpowiedzialność jest sprawą wyboru, a nie władzy i gdzie, zamiast przyjmować polecenia od liderów, wspólnie podejmuje się decyzje na zasadzie konsensusu. Olga nie robi za owieczkę: „Každá partia zawłaszcza moją wolność, nawet jeśli jest to Partia Kobiet.”

Kiedy Marii Antoninie doniesiono, że ludzie nie mają chleba, odpowiedziała po królewsku: *To niech jedzą ciastka*. Kiedy w dniu otwarcia krakowskiej strefy kibica Federacja Anarchistyczna zorganizowała

protest „Chleba zamiast igrzysk”, prezydent Majchrowski rzucił w stronę pikiety: *Chcecie chleba? To idźcie do piekarni*. Władze Krakowa jedną ręką wydawały grube miliony na organizację Euro 2012, drugą likwidowały szkoły, redukowały nauczycielskie etaty i cofały groszowe dofinansowania dla szkolnych stołówek. Okazało się, że to nie edukacja, mieszkalnictwo i kultura są ważne. To piłka nożna jest naszym dobrem narodowym. W ramach ogólnopolskiej akcji protestacyjnej zaprojektowałyśmy billboard, który dobitnie wyrażał to, co spora część mieszkank i mieszkańców Krakowa myśli na ten temat. Wisiał prawie tydzień przy czteropasmowej ulicy. Jeśli media nie dopuszczają nas do głosu, same sobie aranżujemy przestrzeń wypowiedzi. Medialny mainstream reklamuje ciastka. Dla tych, co nie mają na chleb, zostaje ulica przed piekarnią. Ulica jest nasza.

Wszyscy ludzie są siostrami

Na pewnym etapie działania z ludźmi z różnych środowisk przychodzi antyfeministyczny refluks. Wewnątrzśrodowiskowe wykluczanie kobiet odbywa się właściwie na każdym poziomie działań, w praktycznie każdej wspólnocie. Kaśka, doktorantka socjologii, współinicjatorka krakowskiej Masy Krytycznej i pierwotnie nieformalnej polsko-żydowskiej grupy Czulent, kilka lat temu zaangażowała się w organizację kobiecego obozu letniego Ulica Siostrzana [<http://siostrzana.org/>]: „To jest nieformalna sieć kobieca, której zasadniczym celem od lat jest organizowanie obozów edukacyjno-towarzyskich dla kobiet. Włączyłam się w tę inicjatywę, bo podoba mi się pomysł kobiecych wyjazdów i wakacji, które polegają na czymś więcej niż leżenie plackiem. Ważne są też czynniki towarzyskie i sposób organizacji, na przykład dbałość o jak najniższe koszty wyjazdu, żeby kobiety o różnych dochodach mogły brać w nim udział; wspólna odpowiedzialność za przestrzeń, wspólne sprzątanie i gotowanie, możliwość sprawdzenia się w nowych i zróżnicowanych rolach: współorganizatorki, osoby prowadzącej zajęcia czy uczestniczki.” W Krakowie po Manifie 2012 narodził się pomysł na zbudowanie takiej przestrzeni, w której kobiety będą czuły się swobodnie i bezpiecznie, ich głos nie będzie zagłuszany przez kolegów aktywistów, powodowanych często najlepszymi intencjami i jednocześnie bezkrytycznych wobec własnej uprzywilejowanej pozy-

cji, z której mówią. Powstała Kikimora. W Rosji aresztowano właśnie działaczki Pussy Riot, polskie media nie kwapiły się, żeby tę sprawę nagłaśniać, Amnesty International nadal czekało na decyzję zwierzchnictwa w sprawie przyznania aktywistkom statusu więźniarek politycznych. Ubrałyśmy się „na Pussy Riot”: w krótkie spódniczki, kolorowe rajstopy i własnoręcznie przerobione z czapek kominiarki, wskoczyłyśmy na krakowski pomnik wieszczka, wykrzyczałyśmy pussyriotową wersję Modlitwy do Bogurodzicy, założyłyśmy mickiewiczowskim muzom kominiarki i rozdaliśmy 200 ulotek przechodniom. To była pierwsza, założycielska akcja [<https://www.youtube.com/watch?v=m-coghLEufs>] Kikimory. Od tego czasu przez kolektyw przewinęło się kilkanaście działaczek i kilkaset tysięcy pomysłów. Owocem siostrzanego incestu jest m. in. kobieca TatuFesta [http://files.karnet.krakow.pl/news/o/1_59519_tatu-festa-w-kawiarni-naukowej_20680.jpg], queerowa impreza cross-dressingowa, trochę DKF-ów, spotkań dyskusyjnych i kolektywna więź na wagę całego złota światowej gospodarki neoliberalnej. Uczymy się od siebie nawzajem, rotujemy zadania i rozglądamy się za dobrą miejscówką do twórczej interpretacji użytkowej. Od jakiegoś czasu radykałki z kilku większych i mniejszych miast wymieniają między sobą elektroniczne gołębie pocztowe, dopinając na ostatni logistyczny guzik ogólnopolski zjazd anarchofeministyczny. Siejemy zamęt, robimy ferment.

Polityczne jest prywatne

Psy bierze się ze schroniska, koty – preferowana rasa środkowoeuropejska – koniecznie z dachu. Zamiast schabowego robi się niezły pasztet z soczewicy kupowanej w Kooperatywach Spożywczych [<http://squatkrakow.wordpress.com/2012/03/28/kooperatywa-spozywcza/>]. Pod zlewem, po polsku, segreguje się śmieci, jeździ rowerem po dziurawych polskich ulicach, kupuje w second handach i naciąga dobę do 36 godzin. „Czas wolny? Czekaj, było coś takiego...” – zamyśla się Alina, współzałożycielka kolektywu LadyZone [<http://ladyzone.pl/>] z Bielska-Białej, organizatorka corocznego festiwalu anarchofeministycznego Vagina Dentata [<http://vaginadentatafest.blogspot.com/>]. „Anarchofeminizm realizuję codziennie w praktyce. Kiedy raz w roku organizuję kobiecy festiwal muzyczny, chcę pokazać, że dziewczyny grają nie gorzej od facetów i staram się nadać temu taki profeministyczny, antyhomofobiczny, równościowy charakter. Ale do pracy chodzę codziennie i tam, za każdym razem, kiedy ktoś rzuca seksistowską

uwagę, używa przemocowego języka czy stosuje opresywne mechanizmy, reaguję, zwracam uwagę, nie milknę.” Robimy ziny i trafarety, warsztaty z sitodruku i DKFy, spotkania dyskusyjne z profesorkami i performanse uliczne. Jestem anarchofeministką, kiedy mieszam w garnku z klejem domowej roboty na akcję plakatowania miasta i kiedy po akcji wracam do domu do mojej dziewczyny. Olga: „W życiu codziennym bycie anarchofeministką nie jest łatwe. To jest ciągła praca nad sobą, nad relacjami z rodziną, z partnerem. Trzeba mieć dużo cierpliwości i dobrej woli, żeby rozmawiać, tłumaczyć i umieć się dogadać,„ Kulka: „Mój światopogląd i aktywizm są ściśle związane z moim życiem osobistym. Moje przekonania wpływają na moje codzienne decyzje: na to, co kupuję, gdzie kupuję, gdzie idę do pracy, czy idę do pracy, co studiuję, dokąd i jak podróżuję, gdzie mieszkam, z kim mieszkam, z kim i jak spędzam czas. Dyplom magisterski z socjologii uprawnia mnie do wyjazdu za granicę na zmywak, a w Polsce, żeby żyć poza systemem i względnie od niego niezależnie, najlepiej być młodym, zdrowym facetem. Ale póki co próbuję tutaj, u siebie, tworzyć własną, kolektywną, niehierarchiczną, wolną od wykluczeń przestrzeń.” Kaśka: „Idee mam różne albo żadnych, zależnie od dnia cyklu miesięczkowego. W codziennej praktyce najczęściej o nich nie pamiętam, albo właśnie wtedy powstają. Staram się unikać idei w starciu bezpośrednim z drugim człowiekiem, żeby go nie zasłoniły i nie zinstrumentalizowały. Tracę ideologiczność, zyskuję przejrzystość myśli i emocji, wiele wartościowych spotkań i więzi. Zofka: „Wychodzę z prostego założenia, że etyka powinna wypływać z nas samych, więc w codzien-

nym życiu staram się kierować prostymi zasadami. Okazuję szacunek innym ludziom i gatunkom, redukuję własne ego, dbam o przejrzystość komunikacji, unikam zadawania zbędnego bólu i cierpienia. To jest wystarczająca ilość materiału do pracy na całe życie.” Olga żałuje jedynie, że nie zdąży zmienić całego świata, Zofka – absolutnie niczego, a Kaśka, że się więcej w liceum nie całowała. Julie marzy o świecie wolnym od lęku, Alina o ponadpaństwowych strukturach pomocowych dla ofiar przemocy w każdym miejscu na ziemi, a Kulka o anarchofeministycznoqueerowym społeczeństwie doskonałym, w którym takie struktury nie będą już potrzebne. Marzena: „Marzy mi się, że ludzie przejmują władzę w swoich zakładach pracy, że organizują kolektywy i wspólnie nimi zarządzają. Że wspólnoty mieszkańców organizują wiece i samodzielnie podejmują decyzje na temat własnego losu. Że nie ma ksenofobii, rasizmu, seksizmu, homofobii. Że każda osoba ma odwagę i możliwość realizować swoje dążenie do szczęścia i przyjemności w nieskrępowany sposób. Że nie ma bezinteresownej zawiści, że nie wyzyskujemy zwierząt, że ratujemy naszą planetę... Marzy mi się też queerowy cyrk z interaktywnymi spektaklami erotycznymi. Zrobię to niedługo.” Don't you know? They're talkin' 'bout a revolution. It sounds like a whisper. 🗨️

Magdalena Kunz - anarchofemiqueerradykałka, utytułowana literaturoznawczyni in spe, propagatorka i eksplorerką gay, lesbian, queer, women i gender studies oraz kultury mniej lub bardziej popularnej.

Ada Augustyniak - ilustratorka, graficzka, fotografka, filozofka. Robi w życiu to, co chce.



KĄTEM OKA

CONTEMPORARY ART. SHIT.

ŻŁOB– ART na Ukrainie.

tekst: **Weronika Gogola**

ilustracja: **Mihau Dumin**

Spacerując interaktywną galerią Antina Mucharskiego, założyciela i propagatora ukraińskiego żlob-artu, bardzo szybko na usta cisną mi się słowa polskiego klasyka: „Wszystko to gówno, gówno, gówno!”

Ale po kolei. Czym tak naprawdę jest żlobstwo? Kim jest żlob? Odpowiedzieć na to pytanie można na dwa sposoby. Najpierw należałoby zaspokoić potrzeby miłośników wszelkiego rodzaju definicji. „Żlob” w wolnym tłumaczeniu może oznaczać „wieśniaka” lub kojarzyć się z polskim słowem „żul”. Skojarzenie całkiem trafne, gdyż „żlobami” możemy nazwać wszystkich tych dobrze nam znanych jego-ności okupujących przystanki i miejskie skwerki, zapijających swe smutki tanimi winami i kopających znane już tylko nielicznym „męskie bez filtra”. Do specyfiki tego gatunku na Ukrainie, która powszechnie uważana jest za krainę słoneczników, należałoby dodać spluwanie pestkami tejże szlachetnej rośliny.

Jak twierdzi propagator i główny założyciel ukraińskiego żlob-artu, Antin Mucharski: „Nie jest tajemnicą, że koncepcja i termin *żloba* i *żlobstwa* mają pochodzenie czysto ukraińskie. Ogromna ilość zjawisk socjologicznych, wszelkich zachowań społecznych i kulturalnych, a w ostatnim czasie również politycznych, ekonomicznych i ekologicznych we współczesnym życiu Ukrainy może być scharakteryzowana właśnie tym terminem, który wciąż jeszcze nie funkcjonuje w oficjalnym obiegu. Mało tego, sam fenomen żlobstwa jest pewnego rodzaju *terra incognita*, którą dopiero należy zbadać, sklasyfikować, nadać jej strukturę i zwizualizować.”

Żlobem możemy więc nazwać nie tylko tzw. żula, ale również polityka, któremu „słoma z butów wychodzi”. Wszystko, co nazwalibyśmy w Polsce „wieśniackim” (z całą świadomością wieloznaczności tego pojęcia) może być przystawalne do ukraińskiego „żlobstwa”. Współczesne

żlobstwo jest również nieodzownie związane z konsumpcjonizmem– jesteśmy społeczeństwem bezmyślnych konsumentów popkultury. Poprzez media, które karmią nas kiczowatą papką i miałkami produktami kultury masowej powoli dajemy się ogłupić i, chcąc nie chcąc, sami stajemy się żlobami.

Zadaniem projektu Mucharskiego, którego nazwabrzmiszumnie *Żlob, żlobstwo, żlobizm* oraz działającego w jego ramach ruchu oporu przeciw żlobstwu jest zwizualizowanie samego zjawiska przy użyciu narzędzia, jakim jest sztuka, z pełnym wykorzystaniem stylistyki kiczu i groteski, a tym samym usunięcie problemu ze społeczeństwa, a przynajmniej zwrócenie uwagi odbiorcy na realne zagrożenie płynące z powolnej ekspansji *homo-żlobicusa*.

Tyle w kwestii terminologii. Ze zjawiskiem można się też zapoznać w mniej teoretyczny sposób. Dla tych, którzy nie chcą wychodzić na ulicę w obawie przed atakiem *żlobo-consumpcionicusa*, proponuję bezpieczniejszą opcję: odwiedzić w wirtualnej galerii Antins Collection i obejrzenie prac artystów „Sojuszu Wolnych Artystów: Wolność albo Śmierć”.

Wirtualny spacer rozpoczynamy przed budynkiem galerii, który wygląda raczej jak tzw. „osobniak” na sympatycznym, acz z lekka burżujskim osiedlu w nieistniejącej grze komputerowej albo współczesnej bajce w 3D. Budynek jest, jak na Ukrainę przystało, przykraszony kwitnącymi słonecznikami. Nie bez przyczyny – bo, jak wiemy, słoneczniki są jednym z głównych ukraińskich

¹<http://www.antins.net/>



towarów eksportowych. (Tym, którzy jeszcze nie wiedzą, proponuję skosztowanie ukraińskiej chałwy, którą wyrabia się ze słoneczników właśnie). Ale wróćmy do uczty duchowej. Rozpoczynamy nasz wirtualny spacer. Jedno kliknięcie i już jesteśmy w środku! Bardzo szybko orientujemy się, że nie będzie to bajka ani w 3D, ani nawet w 2D. Chociaż ogromna część prac artystów *żlob-artu* wywodzi się z pop-artu i komiksu, to jednak szybko orientujemy się, że z bajką do czynienia nie będziemy mieć w ogóle. Chyba, że to będzie ukraiński koszmar, czyli tzw. „żach”.

Gwiazdy światowego formatu, zbrodniarze, artyści, a nawet postaci z kreskówek zasiadają razem do stołu, aby dokonać konsumpcji głowy znanego wszystkim twórcy surrealizmu.

Z miejsca, jak dobry gospodarz, wita nas wyzierający z płótna ukraiński anarchista Nestor Machno z hasłem: „Wolność, albo wszyscy idą w chuj”. To płótno Iwana Semesiuka, jednego z czołowych przedstawicieli *żlob-artu*. Jego praca pt. *Bratelo* (wisi tuż obok szanownego Machno), namalowana w 2005 roku, zapoczątkowała cały nurt. Ponoć na tyle zainteresowała Kuczmę (drugiego prezydenta Ukrainy), że stał nad nią całe pięć minut, po czym powiedział: „Widzę, że artysta bardzo słabo odczuwa rzeczywistość. Dam mu nagrodę”. Tak też się stało i od tej chwili, jak twierdzi Antin Mucharski, narodził się potężny ukraiński projekt: *Żlob, żlobstwo, żlobizm*.

Żegnamy się z Nestorem Machno i kolejnym kliknięciem serwujemy sobie nową dawkę wrażeń. Co na jednym płótnie robi Królowa Elżbieta, Salvador Dali, Hitler, Marylin Monroe i Fred Simpson? Odpowiedź najprawdopodobniej jest tylko jedna: gówno! Obraz, zatytułowany *Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, bracie*, jest w zasadzie kwintesencją twórczości Semesiuka. Gwiazdy światowego formatu, zbrodniarze, artyści, a nawet postaci z kreskówek (ach ten Simpson, wszędzie wlezie!) zasiadają razem do stołu, aby dokonać, o zgrozo, konsumpcji głowy znanego wszystkim twórcy surrealizmu. O większy surrealizm nie można było prosić. Semesiuk jest również twórcą jednego z najbardziej romantycznych dzieł żlobistów pod tytułem *Koleś z gołębiami*. Uchwycenie chwili, kiedy mieszkaniowiec tzw. osiedla w nieodzownym dresie zapala papierosa, ale jeszcze zdąży podrapać gołębia za uchem (to znaczy gdyby ucho miał, na pewno by go podrapał), tworzy obszar pewnego rodzaju *sacrum*. Ta uchwycona naprędce chwila sama o zadumę się pro-

si. Gdyby Kuczma na tę kolejną wystawę też przyszedł, to by i z dziesięć minut postął. Zwłaszcza, że ktoś kiedyś powiedział, że gołębie to latające szczury, a skoro żłoby to szczury naszego społeczeństwa, to owo tajemnicze porozumienie pomiędzy młodzieńcem a gołębiami ma głęboki symboliczny sens!

Trudno mówić o wszystkich twórcach *żlob-artu* jako o jednej stylistycznej całości. Chociaż wszyscy bazują na kiczu i grotesce, sięgają po śmiałe zestawienia, stylistykę komiksu, to jednak każdy z nich jest twórcą oryginalnym. Jedno jest pewne: wszyscy walczą z głównym współczesności. Gówno nas otacza. Gówno w postaci sączonej papki z telewizji, gówno śmieciowego Internetu i postradzieckie gówno cepeliady – z tym musimy zmagać się na co dzień. Artyści pokazując świat w krzywym zwierciadle, pragną walczyć z problemem oglupionego społeczeństwa. Ach, to gówno, w którym przyszło nam żyć! Macie dość? To jeszcze nie koniec. W tryptyku namalowanym przez Serhija Chachola mamy gówno w złotych ramach – dosłownie!

Contemporary art. Gówno, gówno klasyczne i gówno na talerzu. Skąd ta koncepcja? Jak zawsze, musi być anegdota. W 2006 r. w Doniecku dwóch młodych, powiedzielibyśmy, przedsiębiorców, założyło galerię sztuki współczesnej, gdzie skutecznie handlowali falsyfikatami, w cenach wahających się od 10 do 100 tysięcy dolarów. Wszystkie falsyfikaty, rzecz jasna, w szykownych ramach. Jakie więc było zdziwienie jednego z donieckich „kolekcjonerów”, kiedy w Paryżu znalazł oryginał, który wisił u niego w domu, ale w cenie 150 tys. euro! Reszta jest milczeniem.

Jeżeli wciąż chcecie się dowiedzieć, czym tak naprawdę jest ukraiński *żlob-art*, odwiedźcie stronę internetową Antina Mucharskiego. Znajdziecie tam wirtualną galerię, manifest żlobistów, dowiecie się, czym jest Village Glam Show, zachłystniecie się nowym nurtem, zażłobicie się maksymalnie. Istnieje również prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że jedynie mrukniecie pod nosem: „wszystko to gówno!”. A może nieśmiało zapytacie samych siebie: „A ja? Czy jestem żlobem?” 🐔

Weronika Gogola – studentka ukrainoznawstwa UJ, śpiewa w zespole pieśni tradycyjnych POREMBISKO, koordynatorka i pomysłodawczyni ukraińsko-polsko-słowackiego projektu UPS.

Waga szczegółu

Ostatnimi laty festiwal w Sundance zyskał na znaczeniu i stał się świetnym wyznacznikiem tego, co dzieje się we współczesnej kinematografii. W tym roku głośno było o udziale i skromnym sukcesie (nagroda za zdjęcia Michała Englerta) filmu „Nieulotne” Jacka Borcucha, nieco cichszym echem odbił się dużo większy sukces Grzegorza Zaricznego – zdobywcy głównej nagrody w konkursie filmów krótkometrażowych. Z reżyserem „Gwizdka” rozmawiam niedługo po powrocie z festiwalu.

Polecałeś do Sundance odebrać nagrodę...

Byłem w Sundance, są nawet na to dowody (śmiech). Na pierwszym nagraniu – wręczeniu nagród za najlepszy film dokumentalny – jestem co prawda nieobecny, ale za to stałem się legendą: „przyjechał, ale nagrody nie odebrał, bo spał” (śmiech). Przyleciałem późno i nie zdążyłem się zorientować, kiedy i gdzie jest uroczystość. Drugie nagranie jest z gali finałowej, gdzie miałem szansę już oficjalnie przyjąć nagrodę i za nią podziękować. Statuetki z resztą nie dostałem, bo zaraz po wręczeniu została mi odebrana w celu wygrawerowania napisu.



Jak wygląda tak duży festiwal „od środka”?

Sundance jest olbrzymim festiwalem – zajęło mi dwa dni, żeby zorientować się, jak działa i jak należy się po nim poruszać. Jest też zupełnie inny niż polskie czy europejskie imprezy, ponieważ jego adresatem są przede wszystkim producenci. Tutaj producenci stoją ponad reżyserami, a festiwal opiera się głównie na rozmowie z nimi. Często wygląda to tak, że reżyser ma dosłownie pół minuty, żeby zaciekać producenta swoimi pomysłami.

Sundance ma poniekąd charakter podobny do Oscarów. Dostajesz statuetkę, a wraz z nią uznanie, które otwiera nowe możliwości i pozwala nawiązać kontakty. Nie otrzymujesz jednak nagrody pieniężnej, która umożliwi zrobienie nowego filmu. Możesz za to poznać producenta, który pomoże ci go zrealizować.

Poza tym, na festiwalu wszyscy są równi, nikt nie dostaje pieniędzy za udział. Każdy musi radzić sobie samodzielnie. Dostajesz zaproszenie i na tym rola organizatorów względem ciebie się kończy. Czy nazywasz się Robert Redford, czy Quentin Tarantino, musisz sobie wszystko opłacić sam. (Śmiech)

„Gwizdek” Grzegorza Zaricznego wygrał na Sundance konkurs filmów krótkometrażowych. Jest to film dokumentalny o młodym chłopaku z małej miejscowości, który na co dzień jest pracownikiem fizycznym, a w weekendy sędziuje na lokalnych meczach piłki nożnej. Film ma już na swoim koncie m.in. laur Nowych Horyzontów i nagrodę Jantar 2012 za najlepszy krótkometrażowy film dokumentalny. Za oceanem doceniono go za to, że „stałe zaskakiwał swoją głębią i poczuciem humoru” oraz za fakt, że „w umiejętny sposób rejestruje codzienną historię i sprawia, że staje się magiczna”.

W jaki sposób można zgłosić swój film?

Filmów zgłoszonych na Sundance jest ponad 8000. Mnie zgłosiła Krakowska Fundacja Filmowa, ale podejrzewam, że „Gwizdek” został zauważony przez ekipę z Sundance już wcześniej, przy okazji festiwalu T-Mobile Nowe Horyzonty w Wrocławiu, gdzie zdobyłem główną nagrodę. Organizatorzy jeżdżą po całym świecie i szukają odpowiednich filmów.

Czy ta nagroda, mimo że tak niedawna, pomogła ci już zrealizować jakieś artystyczne postanowienia czy ambicje?

Dzięki nagrodzie mam poczucie, że warto. Dała mi ona siły i zapewniła, że to co robię ma sens. Film robiłem trzy lata, a trwa zaledwie szesnaście minut. Okazuje się jednak, że warto powalczyć, pochylić się bardziej nad człowiekiem. Można film zrobić w pięć dni, „wpaść i wypaść”, zmontować, podłożyć muzykę. Ale czy to ma sens? Reżyser powinien przede wszystkim myśleć o tym, żeby film był jak najlepszy, a nie o tym jak go wypromować.

Czy filmy dokumentalne mają w ogóle szanse na większą promocję? Mam wrażenie, że w tym zakresie dominują przede wszystkim filmy fabularne... Nie ciągnie cię do fabuły?

Chcę po prostu robić filmy, sam nie wiem, dlaczego, ale czuję ku temu wewnętrzny imperatyw. Dokument jest formą, która jest mi bliższa, ale jest także łatwiejsza do realizacji, nie potrzeba na nią wielkiego budżetu. A możesz opowiedzieć równie ciekawą historię co w filmie fabularnym. Myślę, że w branży zawsze będzie istniała wyższość fabuły nad dokumentem, dlatego, że łatwiej ją sprzedać. Ale powstaje coraz więcej pełnometrażowych filmów dokumentalnych tak w Polsce, jak również na świecie. Myślę, że nie dzieje się wcale źle!

Wielu młodych filmowców narzeka, że dotowane są duże historyczne produkcje, a debiutującym twórcom trudno się wybić...

Staram się nie marudzić, mimo że jest to trudny zawód, pracujemy często po 24 godziny na dobę i nieraz nic z tego nie mamy. Uważam jednak, że nikt nie powinien narzekać na sytuację w Polsce. Dziś każdy może zrobić swój film. Wcale nie trzeba ukończyć szkoły filmowej. Szkoła Wajdy i Studio Munka działają w ten sposób, że jeśli im się przedstawi ciekawy i sensowny pomysł, chętnie pomagają młodym twórcom. A gdy film zostanie wyprodukowany, to Krakowska Fundacja Filmowa podejmuje się opieki nad jego „życiem”, tj. zajmuje się jego promocją, wysyłaniem na festiwale, itp. Sam nigdy nie dałbym rady zajmować się tymi formalnymi sprawami.



fot. Klaudyna Schubert

A jak ty zacząłeś? W jaki sposób doszedłeś do historii z „Gwizdka”?

Gdy byłem w szkole filmowej, kręciłem złe filmy, ponieważ dotyczyły one tematów ludzi wykształconych, z dużego miasta, wyższej sfery społecznej. Wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem prostym chłopakiem, który wychował się w prostej rodzinie i powinienem robić filmy o świecie, który znam. Stąd wziął się pomysł na „Gwizdek”. Sam sędziowałem wiele lat, znałem zatem sporo szczegółów i zasad rządzących tym światem. Pozwoliło mi to skupić się na detalach. Bez nich żadna historia nie będzie ciekawa.

Zacząłem opowiadać proste historie, dotyczące mojego życia, małej miejscowości. Mimo że tamtejsze problemy są stosunkowo małe, to mają one równie wielką wagę, jak sprawy inteligencji, o których wciąż kręci się filmy. Jeżeli zna się świat swojego bohatera i ma się takie same doświadczenia jak on, to wówczas on szybciej się uzewnętrznia. Jest się wtedy dla niego kimś, komu chce opowiedzieć swoją historię, bo widzi w tym sens, wartość i radość. Budowanie zaufania w relacji z bohaterem to proces długotrwały, człowiek nie od razu jest gotowy pozwolić nam wejść z kamerą w swoje życie. Ważna jest uczciwość, żeby on rozumiał, że to, co robimy jest dobre dla niego, nie tylko dla mnie.

Myślisz, że mimo sukcesów i rozwoju kariery możesz nadal utożsamiać się z twoim bohaterem?

Po Sundance ludzie zasypali mnie pytaniami: czy jestem artystą, jakie mam marzenia filmowe, czy czuję presję... W ogóle mnie to nie interesuje. Wiem, że jak zrobię dobry film, to cała reszta przyjdzie sama. Nie pcham się na festiwale – one przychodzą same. Mam jednak świadomość, że jestem dopiero na początku drogi filmowej, zrobiłem tylko trzy krótkie filmy, wiele rzeczy jeszcze nie potrafię. Najważniejsze jednak to robić je uczciwie.

Oczywiście, film jest dla mnie bardzo ważny, bo to mój zawód, który ma zapewnić byt mnie i rodzinie. Ale są rzeczy ważniejsze. Nie wyniosłem się do Warszawy, chociaż tak postąpili wszyscy moi znajomi filmowcy. Dalej mieszkam w Kokotowie. Pokazałem, że mimo to da się robić kino. Uznanie przychodzi przy okazji, nie walczę o nie. 🍷

rozmawiała: Klaudyna Schubert

PRESTIGE-IMPREZY.PL



**WYNAJEM
ZABYTKOWYCH
LIMUZYN
W STYLU
RETRO
NA KAŻDĄ
OKAZJĘ!
WOLNE TERMINY
NA ROK 2013.**



Lenin na nartach

tekst i zdjęcia: **Olek Ostrowski**



Pik Lenina 7134 m. n.p.m. znajduje się w górach Pamir na granicy kirgisko-tadżyckiej. Wyprawa miała miejsce w dniach od 6 do 30 lipca 2012 roku. 22 lipca został zdobyty szczyt drogą normalną po 12 dniach działalności górskiej. Olek Ostrowski ze szczytu samotnie zjechał na nartach północną ścianą do obozu I. Kazik Chmiest wrócił drogą podejścia do obozu III, gdzie spędził noc i dnia następnego zszedł do obozu I. Na drodze zostały założone trzy obozy (I-4200 m, II-5200 m, III-6150 m).

Stoję o krok od realizacji projektu, który kosztował mnie miesiące przygotowań i treningów w Polsce. Szalona podróż przez Kirgistan, noszenie ciężkiego plecaka między obozami, marznięcie, ból głowy od wysokości. Radość, zwątpienie, walka. Czyli tak wygląda spełnienie marzenia? Nie, to dopiero początek...

Dyszę, nie mogę złapać oddechu. Nogi przeszywa palący ból. Działam chaotycznie. Siadam na plecaku, próbuję złapać oddech i pozbierać myśli. Mówię do siebie: „Uspokój się, ogarnij, zapanuj nad sytuacją”.

Jestem ciągle bardzo wysoko ponad 7000 m n.p.m. Jakieś pół godziny temu rozstałem się z Kazikiem na szczycie Piku Lenina 7134 m n.p.m. On wrócił naszą drogą podejścia do obozu III, a ja przypiąłem narty i rozpocząłem samotny zjazd niemal trzykilometrową północną ścianą.

Jestem na wschodniej grani

i próbuję zlokalizować żleb, który wyprowadzi mnie na pola śnieżne. Przed chwilą spod moich nart wyjechała deska śnieżna, widoczność ograniczona jest do 10 metrów, siedzę w miejscu, w którym mam nadzieję rozpoczyna się żleb. Jedyne, czego jestem pewien, to że jestem sam w środku burzy śnieżnej wysoko w górach, warunki śniegowe nie należą do najlepszych i jest tylko jedna możliwość powrotu na dół - zjazd w nieznane.

Jem wafelki, piję herbatę, zmieniam kurtkę i ruszam powolutku żlebem. Trzymam się skał na jego skraju, żeby uchronić

się przed ewentualnym zsuwem śniegu.

Cztery skręty i moje nogi są jak z waty, oddech płytki i krótki, sapię. Plecak z osobistymi rzeczami, które musiałem wynieść na szczyt strasznie ciąży i utrudnia utrzymanie równowagi, wywracam się.

Burza powoli przechodzi, trochę się rozjaśnia, mogę zlokalizować swoje położenie. Rozpoznaję serak, który obserwowałem przez lornetkę z obozu I. Wyjeżdżam ze żlebu i wjeżdżam na pola śnieżne północnej ściany. Teraz czeka mnie „ślalom” między serakami. Trasę przejazdu znam na pamięć.

Seraki oglądane przez lornetkę wyglądały jak małe pagórki, w rzeczywistości są wielkości domów jednorodzinnych. Promyki słońca przebijające się przez chmury dodają energii i podnoszą na duchu.

Pogoda się poprawia, śnieg staje się stabilniejszy, a więcej tlenu w powietrzu sprawia, że jazda sprawia dużo radości. Nic innego nie istnieje. Jestem tylko ja na nartach, śnieg i piękne góry.

Zjazd ciągnie się w nieskończoność, odczuwam zmęczenie długiego dnia pełnego wrażeń,

a przede mną jeszcze przejazd przez lodowiec. Nogi powoli odmawiają posłuszeństwa, wywracam się kilka razy. Przed lodowcem linia mojego zjazdu łączy się z drogą naszego podejścia. Krótki odpoczynek i decyduję się na przejazd przez lodowiec. Chcę wykonać pełny zjazd najniżej jak się da.

Ruszam, przejeżdżam pierwsze nieduże szczeliny. Jedyna skuteczna i najbezpieczniejsza metoda to jazda na wprost. Rozpędzam się coraz bardziej, szczeliny pojawiają się w ostatniej chwili, mam ułamki sekund na reakcję i podskok. Strasznie trzęsie, mięśnie nóg są na

wyczerpaniu. Upadam! Na szczęście w bezpiecznym miejscu...

Wstaję chcę jak najszybciej się stąd ewakuować. Ostatni przeskok nad ciemną otchłanią lodowca i jestem w bezpiecznym terenie po ponad trzygodzinnym zjeździe.

Udało się, zjechałem na sam dół. Przypinam narty do plecaka i powoli wlokę się do namiotu. W tym czasie górę znowu spowija gęsta warstwa chmur z opadem śniegu, zamazując narysowane przeze mnie ślady...

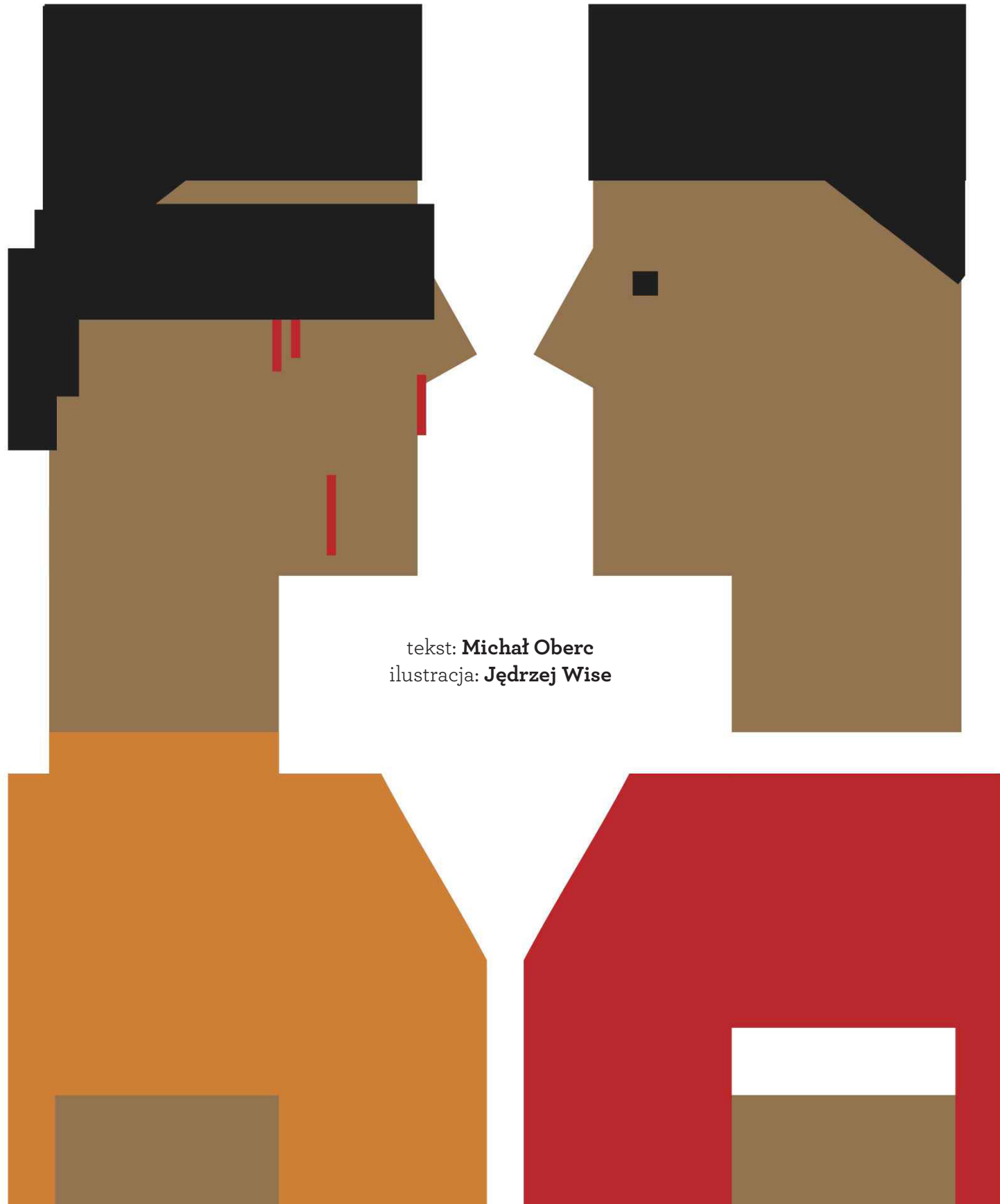


Olek Ostrowski – pochodzi z Wetliny (Bieszczady), członek Klubu Wysokogórskiego Kraków, ratownik Grupy Bieszczadzkiej GOPR, student geografii UJ.

W tym roku Olek planuje wyprawę w Himalaje na Cho Oyu (8201 m n.p.m.), gdzie planuje dokonać pierwszego polskiego zjazdu na nartach ze szczytu. Osoby i firmy zainteresowane sponsorowaniem wyprawy prosimy o kontakt z redakcją.



Maradona z Bahrajnu



tekst: **Michał Oberc**
ilustracja: **Jędrzej Wise**

„Te rzesze Bahrajńczyków, które cię kochały, które cię nosiły i skandowały twoje imię. 30-40 tysięcy ludzi na stadionie wymawiało twoje imię. Zapomniałeś o nich”. Tymi słowami grzmiał dziennikarz, który zamienił się w prokuratora. Na oczach tysięcy widzów rozpoczęła się akcja kompromitowania największego piłkarza w historii Bahrajnu.

IDOL NARODU

Ala'a Ahmed Hubail do lutego 2011 roku był znany jedynie jako „Złoty chłopiec”. Ten przydomek przylgnął do niego, kiedy swoimi pięcioma bramkami podczas Pucharu Azji w 2004 roku zapisał się na stałe w annałach futbolu. Mecz ćwierćfinału rozgrywek, w którym drużyna „Al Ahmar” (przydomek reprezentacji Bahrajnu) stoczyła pojedynek z Uzbekistanem, stał się wydarzeniem narodowym. Ala'a Hubail rozegrał wtedy mecz życia. W regulaminowym czasie gry strzelił 2 gole, w dogrywce wybił piłkę z linii bramkowej i tym samym uratował drużynę przed porażką. W serii rzutów karnych nie zawiódł. Wykonał decydującą „jedenastkę” i wprowadził Bahrajn do grona czterech najlepszych drużyn Azji. W tym samym roku zajął drugie miejsce w plebiscycie na najlepszego piłkarza Azjatyckiej Federacji Piłkarskiej. Nie wystarczy powiedzieć o nim, że był bohaterem czy idolem, bo zyskał status boga w lokalnym świecie futbolu. Zdobywca „Złotego Buta” Pucharu Azji podpisał intratną umowę reklamową z Pepsi i przeniósł się do czołowego klubu na Półwyspie Arabskim. W Al Gharafa zarabiał spore pieniądze, ponadto grał w jednej drużynie z legendarnym Sonnym Andersonem. Jedynym strapieniem „Złotego chłopca” mogły być kontuzje, które zahamowały rozwój jego kariery. Strzelał sporo bramek w Katarze, próbował sił także w klubie z Kuwejtu. Przed wydarzeniami z „Placu Perłowego” podpisał kontrakt z klubem Al Ahli, w którym uczył się gry w piłkę.

OPOZYCJONISTA Z PRZYPADKU

Arabska Wiosna Ludów wzburzyła rzesze uciskanych szyitów, którzy w Bahrajnie stanowią większość. Ala'a razem z bratem Mohamedem pochodzili z szyickiej rodziny, ale postanowili nie angażować się w demonstracje. „Perłowa Rewolucja”, rozgrywająca

się na głównym placu w Manamie, nie dotknęła dostatecznie żyjących sportowców. Rozpoznawalni piłkarze nie chcieli stracić reputacji i stać się łatwym celem dla policji. Ciężko im było opowiedzieć się przeciwko państwu rządzonemu przez sunnicką dynastię, w którym zyskali splendor i majątek. Pod wpływem krwawych zamieszek postanowili jednak dać wyraz solidarności z protestującymi i przyłączyli się do marszu setek sportowców, który udał się na „Plac Perłowy”. Podczas wiecu Ala'a Hubail przemawiał w przyjaznym tonie, jednak w oczach władz stał się wyrazicielem szyickich rewolucjonistów, dążących do demokratyzacji Bahrajnu. Kamery telewizyjne uchwyciły go na tle transparentów z hasłami antyrządowymi. Dynastia Al Khalifa potrzebowała odpowiedzi w postaci propagandowego upodlenia czołowych ludzi sportu. 4 kwietnia 2011 roku publiczny nadawca zaprezentował program publicystyczny, w którym dziennikarze agresywnie zaatakowali Hubaila. Piłkarz zyskał miano zdrajcy i szpiega.

WIĘZIEŃ POLITYCZNY

Następnego dnia aresztowano go podczas treningu. W materiale telewizji ESPN wspominał: „Zobaczyliśmy kilku zamaskowanych mężczyzn wychodzących z samochodu. Powiedzieli do mnie: Kapitanie Ala'a, weź swojego brata. Poszliśmy z nimi”. Człowiek, który był na ustach wszystkich obywateli, został wymazany ze społeczności. Około 200 sportowców zniknęło bez wieści i zostało osadzonych w więzieniach. Było to jasne przesłanie od władz reżimu: „bądźcie cicho, zamknijcie się”. Wielu ludzi, którzy padli ofiarą niesłusznych prześladowań, opisywało metody działania służb bezpieczeństwa. Wspólnym elementem ich relacji ze śledztwa było zasłanianie oczu opaską, wkładanie do dłoni kabla i groźba natychmiastowego uruchomienia prądu.

Przesłuchujący próbowali wykorzystać strach zatrzymanych przed śmiercią do wymuszenia zeznań. Ala'a Hubail wspominał: „Umieścili mnie w pomieszczeniu przeznaczonym do bicia i torturowania. Jeden z tych, którzy mnie bili powiedział, że połamie mi nogi. Wiedzieli, kim jesteśmy”. Nogi dla piłkarza są równie ważne jak sprawne palce dla chirurga. Po kilku miesiącach uwięzieni sportowcy zostali zmuszeni do podpisania fałszywych zeznań. Mohamed Hubail wyszedł, ponieważ wniesiono apelację wobec wyroku skazującego go na dwa lata więzienia. Sprawa drugiego z braci nie znalazła tak szybkiego rozstrzygnięcia. Ludzie, którzy stanęli po stronie demonstrantów domagających się demokratyzacji Bahrajnu przeżyli koszmar tortur i wiele dni żyli w niepewności dalszego losu.

BOHATER NA UCHODŹSTWIE

Gdy na początku ubiegłej dekady bracia Hubail dołączyli do kadry narodowej, Bahrajn był notowany na 139. miejscu rankingu FIFA. Młody zespół wkroczył jednak na ścieżkę sukcesów. Ala'a Hubail był liderem ekipy, która dotarła do półfinału Pucharu Azji. Dwukrotnie rozgrywali dramatyczne mecze w fazie barażowej eliminacji do Mistrzostw Świata. Spotkania z Trynidadem i Tobago oraz Nową Zelandią uznawane są za największe osiągnięcia Bahrajnu na arenie futbolowej. Po kilku latach „Al Ahmar” plasowali się na 44. miejscu na świecie. Kilka miesięcy zabranych przez reżim trwale wpłynęło na przebieg kariery piłkarzy. Peter Taylor, ówczesny selekcjoner kadry, nie zdawał sobie sprawy z istnienia tej klasy piłkarza, który mógł pomóc drużynie w awansie do kolejnej fazy eliminacji do MŚ w Brazylii. Po wydarzeniach z „Placu Perłowego” Ala'a Hubail został wyrzucony z Al Ahli i żaden klub z Bahrajnu nie mógł go zatrudnić. Znalazł pracę w mało znanym Talia Club z Omanu, a w ojczyźnie zostawił żonę i dzieci. Życie „Złotego chłopca” toczyło się wokół liczb: setek tysięcy dolarów zarobionych na boisku, dziesiątek tysięcy kibiców, którzy go kochali oraz kilkudziesię-

ciu ważnych bramek, jakie strzelił. Po wyjechaniu z rodzinnego kraju zarabiał około 10 tysięcy dolarów rocznie, a jego dokonania śledziło co najwyżej kilka tysięcy widzów. Z Omanu udał się do Bejrutu i aktualnie gra w tamtejszym Nejme SC. Gwiazdor, który spoglądał na rodaków z billboardów reklamowych, dziś jest w Bahrajnie „persona non grata”. Nazwisko braci Hubail i kilku innych reprezentantów zniknęło z relacji dziennikarzy z boisk piłkarskich niczym plama usunięta odplamiaczem. Strzelec 24 bramek w barwach narodowych ostatni występ w reprezentacji zanotował 10 października 2009 roku w meczu przeciwko Nowej Zelandii. Wbrew wszelkim przeciwnościom Ala'a Hubail stwierdził jednak, że zawsze będzie gotowy reprezentować swój kraj, bo jest Bahrajńczykiem i chce grać dla Bahrajnu.

Sport i polityka są ściśle powiązane, a sportowcy często opuszczają swoje ojczyzny, by nie stać się ofiarami rodzimego reżimu. Od pierwszych po wojennych Igrzysk Olimpijskich w Londynie liczne rzesze zawodników znajdowały azyl w krajach respektujących prawa człowieka. W styczniu 2013 roku organizacja Human Rights Watch opublikowała raport, w którym wskazuje na brak demokratycznych reform i dalsze łamanie praw człowieka w Bahrajnie. Monarchia Al Khalifa importuje broń ze Stanów Zjednoczonych i udostępnia basen Zatoki Perskiej dla US Navy. Los Ala'a Hubaila i innych represjonowanych sportowców został tym samym położony na szali polityki zachodniego mocarstwa, które sytuację w Bahrajnie zepchnęło na ubocze wobec wydarzeń Arabskiej Wiosny Ludów. ☹

Michał Oberc - student Prawa UJ. Wnikliwie obserwuje świat sportu, kibic i amator tenisa ziemnego, piłki nożnej i sportów zimowych.

Longboarding, czyli dlaczego ci chłopcy mają takie długie deskorolki?

tekst: **Piotr Kosmala**

ilustracja: **Andr**

My wiemy, że longboard to o wiele więcej niż po prostu dłuższa deskorolka. Skąd to wiemy?

Wystarczy postawić kogoś z deskorolką na szczycie wysokiego wzniesienia i powiedzieć mu, żeby zjechał na dół. Prawdopodobnie duma nie pozwoli mu nie spróbować, jednak my będziemy żyli ze świadomością wysłania wspomnianego jegomościa na misję samobójczą.

Jeśli jednak umieścimy tam doświadczonego longboardera, to na pewno w jego oczach ujrzymy błysk, na jego twarzy zarysujecie się promienny uśmiech, a sam zjazd będzie dla niego źródłem nieopisanego wręcz przyjemności.

To właśnie odróżnia deskorolkę od longboardu.

Zjawisko longboardingu ma swoje korzenie w surfingu. W latach 70-tych amerykańskie zachodnie wybrzeże aż kipiało od surferów, a ujarzmianie fal stało się dla wielu sposobem na życie. Ale człowiek nie ryba – wyjść z wody musi. Prawdopodobnie właśnie to nieprzyjemne uczucie twardego gruntu pod stopami popchnęło surferów do radykalnej próby przymocowania kółek do deski surfingowej. Tak narodził się longboard.

Można by w tym miejscu rozpisać się o rodza-

jach desek, szerokości tracków czy twardości kółek, jednak nie o tym traktuje ten artykuł. Zamiast suchych technicznych opisów lub poradników w stylu „jak wybrać pierwszy longboard” chcielibyśmy przedstawić, czym jest longboarding dla nas – *rajderów*.

A kim są owi tajemniczy *rajderzy*? To ludzie zakochani w swoich deskach. Niektórzy z nimi pewnie śpią. To chłopcy i dziewczęta, dla których jest to coś więcej niż bezduszny kawałek drewna na kółkach. Bo longboard to pasja, wolność, styl życia i wiatr we włosach. To przynależność do grupy i bycie unikalnym jednocześnie. To jak jazda na dzikim mustangu bez siodła. To jak *bunga bunga* u Berlusconiego!

Każdy może odnaleźć w tym coś dla siebie. Oczywiście punktem wyjściowym do poszukiwań zawsze będzie funkcja czysto praktyczna, za jaką można uznać przemieszczanie się z punktu A do punktu B. Jednak na longboardzie każdy pokonany metr daje trudną do opisanego słowami radość. Jednym największą przyjemnością sprawi leniwy slalom od krawężnika do krawężnika, inni osiągną nirwanę pędząc z góry z prędkością 60 km/h, jeszcze inni sprzedaliby matkę za miesięczną wyprawę z deską w odległą zakątki globu. Łączy ich jedno – poczucie nieskrępowanej wolności.



Jadąc, przestajesz myśleć o problemach, egzaminie, bylej dziewczynie czy zdechłym psie. Myśli ustępują odruchom, a w miejsce skomplikowanych procesów myślowych pojawia się instynkt. Longboard to czysta serotonina na kółkach. Z jednej strony to jedyna rzecz jaka w danym momencie oddziela cię od ziemi, z drugiej pozwala ci się z nią połączyć. Nie doświadczyłem większego pojednania z matką ziemią niż głaskanie dłonią asfaltu podczas długiego, gładkiego slajdu...

Dlaczego wciąż tak mało osób jeździ? Sam zadaję sobie to pytanie i nie potrafię znaleźć na nie odpowiedzi. Z jednej strony chciałbym rozpropagować longboarding jako lekarstwo na całe zło, z drugiej nie ukrywam, że podoba mi się pewnego rodzaju elitarność, jaką ze sobą niesie jego uprawianie. Wydaje mi się, że tak jak przy większości pasji trzeba się tym po prostu zarazić. A jak najłatwiej się zarazić? Oczywiście przez bezpośredni kontakt. Można czytać fora internetowe, oglądać filmy na youtube czy ćwiczyć na desce do prasowania, jednak wrażenia porównałbym do seksu przez telefon.

Z longboardem trzeba się poznać „twarzą w twarz”. Zakochał się ktoś z was kiedyś w partnerze z portalu randkowego? Nie? No właśnie.

I pamiętaj – możesz mieć więcej niż jedną deskę i żadna z nich nie będzie miała nic przeciwko temu. 🍷

ALTER EGO



PUB Alter Ego
ul. Floriańska 13
Kraków



www.alterego.krakow.pl

OD SZATNI

ZJAZD Z PRZESZKODAMI

ilustracje: **Magdalena Lentowicz**

Marcin Bocian to jedna z barwniejszych postaci polskiego sportu zimowego. Jeździ, startuje, działa, organizuje. Jak wygląda polski sport „od szatni”? Niestety słowem, które najczęściej padało w naszej rozmowie było „niestety”.

W jaki sposób można wystartować na igrzyskach olimpijskich, tzn. jak wygląda „rekrutacja” na najważniejszą światową imprezę sportową?

Na igrzyska olimpijskie ustalone są specjalne limity. Walka o kwalifikację do najbliższych Igrzysk w Soczi rozpoczęła się już we wrześniu. W dyscyplinie snowboardcross może wystartować czterech mężczyzn i cztery kobiety z Polski. Trzeba przynajmniej raz znaleźć się w najlepszej trzydziestce w zawodach Pucharu Świata lub na Mistrzostwach Świata, zaś przed Igrzyskami być wśród 40 najlepszych zawodników na świecie. Systematycznie startując i zdobywając punkty na zawodach Pucharu Świata, ma się spore szanse na wywalczenie takiej kwalifikacji.

W czym mogły ci pomóc ostatnie Mistrzostwa Świata w Kanadzie?

Wyjazd na mistrzostwa świata daje duże możliwości wywalczenia części kwalifikacji na igrzyska. Bierze w nich udział po czterech zawodników z każdego kraju, co oznacza na przykład, że z dziesięciu Amerykanów, którzy znajdują się w światowej czołówce, wystarto-

wało tylko czterech. Z Kanadyjczykami, Austriakami, Francuzami jest tak samo. Taka impreza daje w związku z tym dużą szansę na wywalczenie sobie miejsca w pierwszej trzydziestce, co oznacza spełnienie części wymagań międzynarodowych. To, że nie pojechałem na Mistrzostwa Świata nie oznacza, że nie pojedę na igrzyska olimpijskie, ale na pewno zmniejszyło to moje szanse.

Dlaczego nie doszło do twojego startu?

Nie polecałem do Kanady ze względu na błędy w działaniu Polskiego Związku Snowboardowego. Od sześciu lat byłem członkiem kadry narodowej, stawałem na podium mistrzostw Polski, zajmowałem miejsca w pierwszej dziesiątce w zawodach Pucharów Europy. Jestem srebrnym medalistą zimowej Uniwersjady (Igrzyska Olimpijskie dla studentów). Niestety żaden z tych wyników nie interesowa PZS, ponieważ biorą oni jedynie pod uwagę wyniki ostatnich mistrzostw Polski, które po upadku zakończyłem na siódmej pozycji.

O chęci wyjazdu na MŚ informowałem trenera kadry już w grudniu, niestety bez żadnego od-

zewu. Dowiedziałem się, że do wyjazdu może dojść jedynie wówczas, gdy zorganizuję własne finansowanie. Szukałem sponsora i udało mi się go w końcu znaleźć! W odpowiedzi na prośbę, by dopisać mnie do listy startowej, usłyszałem, że jest już za późno i Ministerstwo Sportu nie wyrazi na to zgody. Zadzwoiłem więc do Ministerstwa, które było bardzo zadowolone, że chcę lecieć za własne pieniądze.

Na Mistrzostwach miało wystartować jedynie dwóch najlepszych polskich zawodników. Tym samym dwa miejsca pozostawały wolne. Gdy zadzwoniłem do Związku szczęśliwy, że Ministerstwo wydało zgodę na mój start, okazało się, że radość była przedwczesna. Dowiedziałem się, że nie spełniam wymagań regulaminowych. Poprosiłem więc o wgląd do regulaminu, ale nie był on jeszcze gotowy. Miał powstać i zostać ogłoszony dopiero w czasie trwania Mistrzostw Świata! W międzyczasie do PZS dzwoniło Ministerstwo Sportu z prośbą o dopisanie mnie do listy, sam obdzwoiłem większość członków zarządu PZS, którzy również wyrazili wstępną zgodę na mój wyjazd. Niestety pan prezes był nieugięty.

Wtedy zdecydowałeś się na akcję internetową? Przyniosła ona spory oddźwięk, jednak nie dała spodziewanego rezultatu.

W przyływie emocji umieściłem na Facebooku informację o tym, jak zostałem potraktowany. Dotarła ona do ponad 75 000 osób, udostępniło ją ponad 600 użytkowników. Niestety w ostatnim dniu, w którym mogłem wylecieć z Polski, Związek miał wyłączone wszystkie telefony i nie dało się z nikim skontaktować. Nie polecałem.

Myślisz, że ta akcja może coś w przyszłości zmienić?

Wydaje mi się, że ta akcja dała ludziom do zrozumienia, a przynajmniej przypomniła o tym, że sytuacja w polskich związkach sportowych

jest bardzo zła. Zawodnik prawie nigdzie nie jest traktowany poważnie. Ustalane są regulaminy, które są ważniejsze od człowieka i w sytuacjach, kiedy potrzebne jest szybkie reagowanie, związki rozkładają ręce.

Sporo ostatnio mówi się o staraniach Polski do bycia gospodarzem zimowej olimpiady w 2022 roku. Czy fakt, że zgłaszamy się jako kandydat na organizację najważniejszej sportowej imprezy zimowej oznacza, że posiadamy odpowiednie obiekty i zaplecze treningowe?

Wszystko pięknie, organizujemy igrzyska, ale pamiętajmy o tym, że dobrze by było przy tej okazji odpowiednio się zaprezentować. Ostatnie działania Ministerstwa i obcinanie finansowania zawodnikom nie są dobrym krokiem ku temu. Cięcie kosztów

to nie jest rozwój sportu. Może zamiast odbierać pieniądze sportowcom, powinno się zlikwidować połowę związków i połączyć je w jeden związek od sportów zimowych i jeden od letnich? Na działanie polskiego snowboardu Ministerstwo przeznaczyło ok. 400 000 zł, z czego niemal 50% będzie przeznaczone na pokrycie funkcjonowania Związku, a reszta trafi na szkolenie trzech zawodników, którzy otrzymają finansowanie.

Mamy zawodników z potencjałem do odnoszenia międzynarodowych sukcesów?

W Polsce mamy wielki potencjał w sportach zimowych, ale niestety często osoby, które mogłyby walczyć o najwyższe miejsca są ograniczane. Zawodnik nie może skupić się całkowicie na treningu

i przygotowaniu do sezonu, bo musi ciągle walczyć o swoje. Zawodnicy muszą dopłacać spore pieniądze do wszystkich działań. Wszystkie oszczędności wkładamy we własny rozwój. Nie każdego na to stać.

Startujesz w snowboardcrossie, dyscyplinie do niedawna nieznanej. Jak w niej prezentuje się polski poziom? Jest gdzie ćwiczyć w Polsce?

W Polsce można ćwiczyć, ale niestety nie ma odpowiednich torów, które przypominałyby te z zawodów międzynarodowych.

Podczas mistrzostw Polski został wybudowany tor, który przypominał trasę dla krasnoludków. Zawodnicy z Anglii byli strasznie ubawieni tym, co zobaczyli. Niestety, żeby móc liczyć się z zawodnikami z Zachodniej Europy, obecnie trzeba trenować na ich obiektach w Austrii, Szwajcarii, Włoszech czy Francji.

Jesteś nie tylko zawodnikiem, ale też sportowym aktywistą.

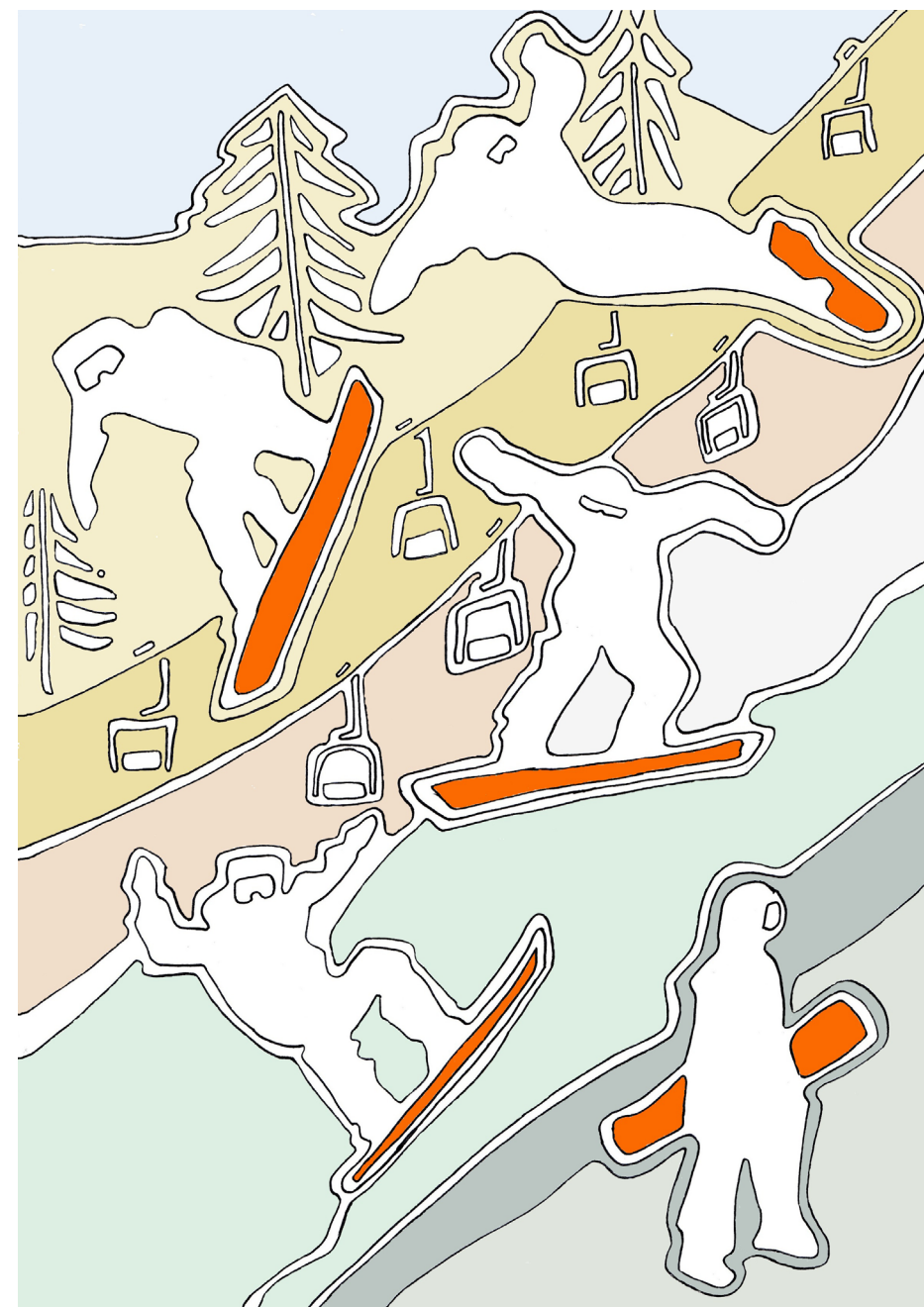
Staram się być otwarty i poza snowboardem uprawiam windsurfing, krę-

cę filmy, a także, wykorzystując swoje doświadczenie, działam społecznie, czego przykładem akcja PANDA NARTY. Jest to charytatywna zbiórka sprzętu narciarskiego dla dzieci z domów dziecka. W tym roku zebraliśmy ponad 110 kompletów narciarskich, ubrania, kaski, łyżwy, snowboardy. Dopasowaliśmy sprzęt do potrzeb dzieci, a teraz zaczynamy wyjeżdżać z nimi na szkolenia. Nie ma na świecie nic lepszego niż widok szczęśliwego dziecka, które spełnia swoje marzenia. 

Rozmawiała: Magdalena Urbańska



Magdalena Lentowicz - absolwentka filologii polskiej z logopedią UP, studentka konserwacji malarstwa ASP, interesuje się wszystkim, co związane z kulturą i sztuką.



Marcin Bocian (ur. 1987 roku w Warszawie) - snowboardzista, windsurfer, fan wszelkiego rodzaju sportów ekstremalnych. Wieloletni członek kadry Polski w snowboardcrossie, z licznymi ogólnopolskimi i międzynarodowymi sukcesami na koncie. Kandydat do występu w Igrzyskach Olimpijskich w Soczi.

WALL OF FAME

AUTORZY

KAMILA CHOJNACKA

kamila_chojnacka@o2.pl

WERONIKA GOGOLA

weronikagogola@gmail.com

www.facebook.com/pages/

Projekt-Ups

NATALIA GRUBIZNA

nat@proseksualna.pl

www.proseksualna.pl

SONIA KACZMARCZYK

sonyakaczmarczyk@gmail.com

ALEKSANDRA

PIOTROWSKA

aleksandraper@gmail.com

JUSTYNA STASIOWSKA

jstasiowska@gmail.com

KATARZYNA WABIK

katarzyna.wabik@tlen.pl

www.katarzynawabik.blogspot.com

WIOSKA FANTASY

wioskafantasy@gmail.com

www.facebook.com/wioskafantasy

ANNA FRĄCKOWIAK

anna.u.frackowiak@gmail.com

MORGAN LE FLY

morganlefty@gmail.com

www.morganlefty.weebly.com

MAGDALENA LENTOWICZ

mlentowicz89@o2.pl

MAŁGORZATA

MAJCIEJEWSKA

inez.welt@gmail.com

www.inezwelt.digart.pl

MARIA DAGMARA SKIBA

www.facebook.com/

MariaDagmaraSkiba

PAWEŁ SŁOŃ

elefante88@gmail.com

AGATA TRYBUS

agata.trybus@gmail.com

www.atrybus.com

BARBARA WIEWIOROWSKA

bwiewiorowska@gmail.com

ZUZANNA WOLLNY

zuzannnnka@gmail.com

www.behance.net/zuzannnnkac1f5

ILUSTRATORZY

ANDRJ

zielonybatmanninja@gmail.com

www.lelumpolelum.tumblr.com

ADA AUGUSTYNIAK

ada.augustyniak@gmail.com

www.adaaugustyniak.pl

MATEUSZ DRABENT

www.aftervision.pl

www.drabent.net

MIHAU DUMIN

www.dumin.pl

AGATA KOŁODZIEJ

agatkolodziej@gmail.com

PIOTR KOSMAŁA

www.piotrkosmala.com

MAGDALENA KUNZ

mad_lenn@interia.pl

MICHAŁ OBERC

michaloberc@gmail.com

www.prostaepika.blogspot.com

www.krotkapilka.pl

DOŁĄCZ DO NAS!



KONTAKT:

redakcja@fuss.com.pl

reklama@fuss.com.pl

www.fuss.com.pl

www.facebook.com/fuss.magazyn